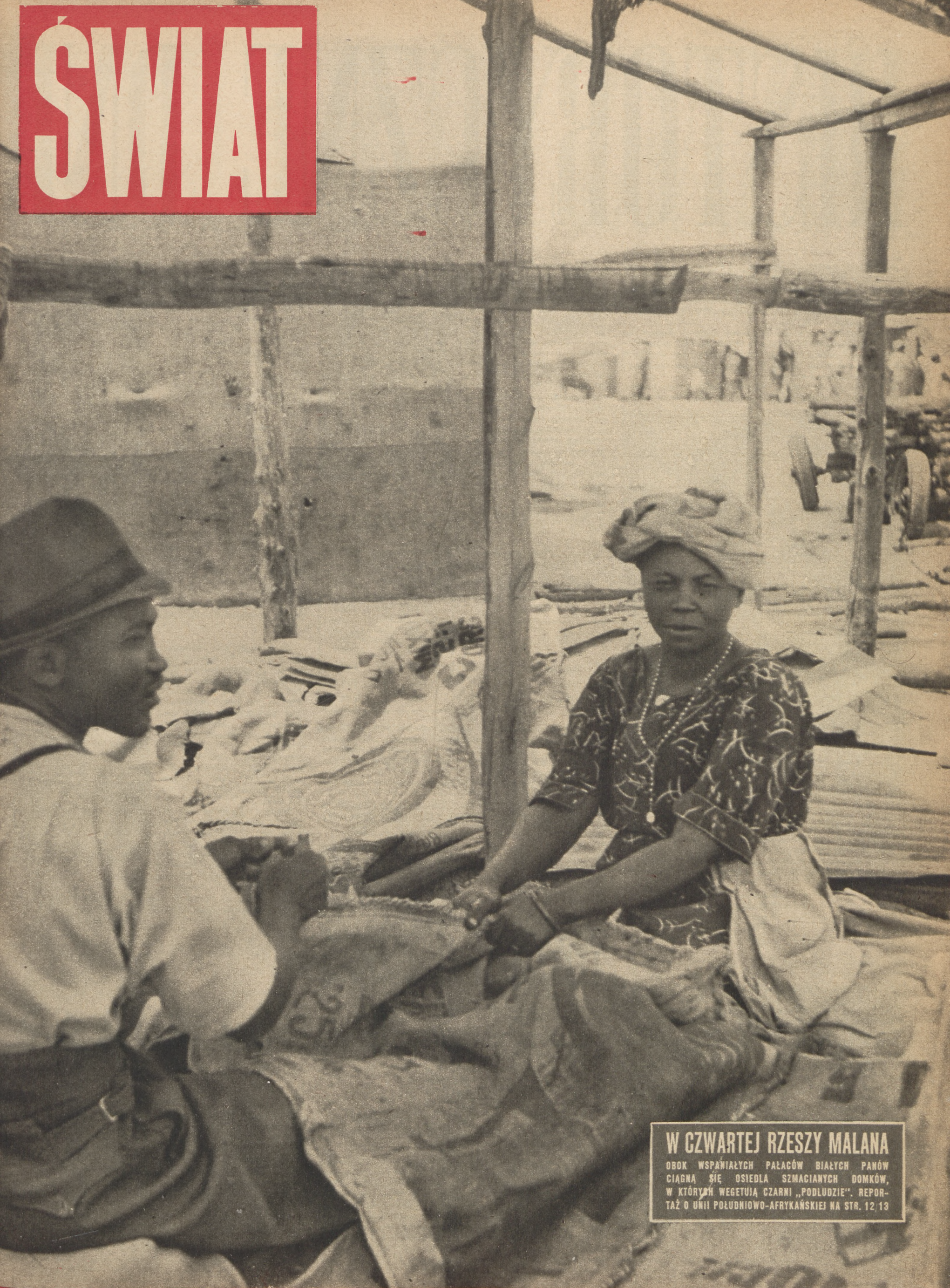




W CZWARTEJ RZESZY MALANA

OBOK WSPANIAŁYCH PAŁACÓW BIAŁYCH PANÓW
CIĄGNA SIĘ OSIEDLA SZMACIANYCH DOMKÓW,
W KTÓRYCH WEGETUJĄ CZARNI „PODLUDZIE”. REPOR-
TAŻ O UNII POŁUDNIOWO-AFRYKAŃSKIEJ NA STR. 12, 13

HISTORYCZNE DNI

BEZPOŚREDNIO po ogłoszeniu komunikatu o zwołaniu XIX Zjazdu WKP(b), Komitet Centralny Partii opublikował dwa niezwykle ważne dokumenty, dotyczące podstawowych problemów Zjazdu — dyrektyw KC WKP(b) w sprawie pięcioletniego planu pięcioletniego oraz nowego Statutu WKP(b).

Na łamach prasy radzieckiej, na licznych konferencjach i zebraniach toczyły się dyskusje nad zagadnieniami piętej pięciolatki i nowego Statutu: oceniano projekty, omawiano udział w realizacji planu, zgłaszano propozycje zmian i poprawek.

W przeddzień otwarcia Zjazdu opublikowana została niesłychanie doniosła praca Józefa Stalina o ekonomicz-



nych problemach socjalizmu w ZSRR. Dzieło Stalina, które już zostało przetłumaczone na wszystkie języki świata i wydane w milionach egzemplarzy, okazało delegatom na Zjazd ogromną pomoc; określiło ono konkretne drogi stopniowego przechodzenia od socjalizmu do komunizmu i wyjaśniło sens i działanie podstawowych praw ekonomicznych w warunkach społeczeństwa socjalistycznego.

NIEDZIELA
5
Październik

Punktualnie o godzinie 19 członek Biura Politycznego KC WKP(b), Władysław Mołotow, dokonał otwarcia XIX Zjazdu Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). W przemówieniu inauguracyjnym Mołotow złożył hołd pamięci tysięcy bohaterów, którzy zginęli na frontach wojny z faszyzmem.

Po oficjalnym otwarciu wybrano kierownicze organy Zjazdu: Prezydium, Sekretariat, Komisję Redakcyjną i Komisję Mandatową. Z kolei Zjazd zatwierdził porządek obrad, ogłoszony już wcześniej w komunikacie, oraz regulamin prac Zjazdu.

W pierwszym punkcie porządku dziennego obrad wygłosił referat sprawozdawczy Komitetu Centralnego WKP(b) G. M. Malenkov. Omawiając międzynarodową sytuację Związku Radzieckiego mówca podkreślił doniosłą rolę ZSRR w walce o zachowanie i utrwalenie



W. M. Mołotow

pokoju. Malenkov, operując danymi liczbowymi, przeciwstawił obozowi kapitalistycznemu, targanemu nieprzerwanym pasmem kryzysów i depresji, sukcesy Kraju Rad w pokojowym budownictwie. Oto w najlepiej stosunkowo rozwijającym się państwie kapitalistycznym — Stanach Zjednoczonych — produkcja przemysłowa w ciągu ostatnich 22 lat podwoiła się, a w Związku Radzieckim w tym samym czasie — mimo ogromnych zniszczeń wojennych — wzrosła 13-krotnie!

W rozdziale, poświęconym sytuacji wewnętrznej ZSRR, Malenkov obszernie omówił rozwój gospodarczy Kraju Rad, podnoszenie się materialnego i kulturalnego poziomu ludności, wzmocnienie radzieckiego ustroju społecznego. Podkreślając osiągnięcia mówca nie szczędził słów krytyki pod adresem przedsiębiorstw i pla-



G. M. Malenkov

Wzrost produkcji przemysłowej w ZSRR i krajach kapitalistycznych w latach 1929 — 1951 (w procentach r. 1929)

	r. 1929	r. 1951
ZSRR	100	1266
USA	100	200
Anglia	100	160
Francja	100	104
Włochy	100	134

cówek gospodarczych, w których niedostateczną troską otoczona jest sprawa oszczędności i racjonalnej organizacji pracy. Malenkov zwrócił też uwagę na niedostateczny poziom ideowo-artystyczny niektórych dzieł literatury i sztuki.

Trzecią część referatu sprawozdawczego poświęcił

WZROST IŁOŚCI CZŁONKÓW I KANDYDATÓW WKP(b) W OKRESIE MIĘDZY XVIII I XIX ZJAZDEM.

868.886 kandydatów



888.814 kandydatów



1.588.852 członków

OKRES XVIII ZJAZDU ROK 1939

6.013.259 członków

OKRES XIX ZJAZDU ROK 1952

mówca sprawom partii bolszewickiej, jej rozwojowi li-
czebnemu i ideowemu, jej najbliższym i najaktualniej-
szym zadaniom.

PONIEDZIAŁEK
6
Październik

Na posiedzeniu porannym Zjazd przystąpił do drugiego punktu porządku dziennego: referat sprawozdawczy Centralnej Komisji Rewizyjnej WKP(b) wygłosił P. G. Moskatow. Omówił on sprawy finansowe partii, działalność partyjnych instytucji wydawniczych, sprawozdawczość, załatwianie listów, skarg i życzeń oraz inne sprawy, podlegające kompetencji Centralnej Komisji Rewizyjnej. Mówca podkreślił szczególną rolę Józefa Stalina o pilne i staranne załatwianie spraw, z którymi zwracają się do instancji partyjnych obywatele radzieccy — partyjni i bezpartyjni.

Po wysłuchaniu obu referatów sprawozdawczych

Zjazd przystąpił do dyskusji. Jako pierwsi zabrali głos delegaci: Griszyn (Moskwa), Patoliczew (Białoruś), Mielnikow (Ukraina), Bagirow (Azerbejdżan), Łykowa (obw. iwanowski), Sneczkus (Litwa). Omawiali oni najaktualniejsze zadania dalszego rozwoju przemysłu i rolnictwa w swoich republikach i obwodach. Występujący następnie Michajłow (Moskwa) podkreślił ogromny rozwój Komsomołu, który liczy obecnie około 16 milionów członków.

Na posiedzeniu wieczornym trwała dyskusja nad referatami. Zabrali w niej głos między innymi: Fadiejew (Moskwa), który omówił osiągnięcia i braki współczesnej literatury radzieckiej, oraz Szajachmietow (Kazachstan), który skrytykował niedociągnięcia w rozwoju hodowli w swej republice.



P. G. Moskatow

WTOREK
7
Październik

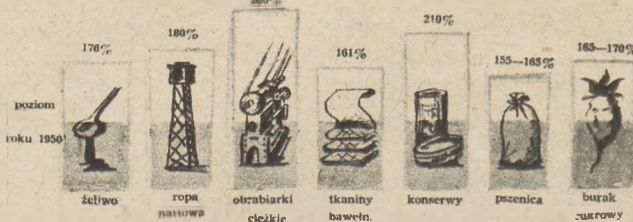
W trwającej w dalszym ciągu dyskusji zabrał głos Ł. P. Beria. Zatrzymał się on nad dwoma najważniejszymi wydarzeniami w życiu narodu radzieckiego i jego partii w okresie między XVIII i XIX Zjazdem. Pierwszym z tych wydarzeń jest zwycięstwo ZSRR nad faszyzmem hitlerowskim, drugim — wspaniały rozwój przemysłu radzieckiego w okresie powojennym, rozwój, dzięki któremu produkcja 1952 roku przekroczyła produkcję 1940 roku 2,3 raza.

Dalszy ciąg swego wystąpienia poświęcił Beria rozkwitowi radzieckich republik środkowo - azjatyckich i zakaukaskich. Z przytoczonych przezeń danych liczbowych wynika niezbicie, że poziom rolnictwa, oświaty i opieki zdrowotnej w tych republikach jest nie tylko nieporównanie wyższy niż w krajach Wschodu,



L. P. Beria

PROCENTOWY WZROST PRODUKCJI W NIEKTÓRYCH DZIEDZINACH PRZEMYSŁU I ROLNICTWA ZSRR W OKRESIE PIĄTEJ PIĘCIOŁATKI 1951—1955



ale przewyższa także produkujące kraje kapitalistyczne Europy. Tak na przykład na tysiąc hektarów zasiewów przypada we Francji 7 traktorów, we Włoszech — 4, a w Uzbekistanie 14 traktorów. Na 10 tysięcy mieszkańców przypada w Szwecji 21 osób studiujących na wyższych uczelniach, we Francji — 36 osób, w Kirgizji

PLONY BAWELNY W ROKU 1951 W RÓŻNYCH KRAJACH (W KWINTALACH Z 1 HA)



WIELKIEGO ZJAZDU

— 64, w Azerbejdżanie — 93. W Holandii jeden lekarz przypada na 1160 mieszkańców, we Francji na tysiąc, w Gruzji na 373 mieszkańców. Przykłady te są wymownym przejawem osiągnięć wielonarodowego państwa radzieckiego.

W dalszym ciągu dyskusji M. N. Piegow złożył w imieniu Komisji Mandatowej sprawozdanie, z którego wynikało, że w XIX Zjeździe bierze udział 1192 delegatów z głosem decydującym i 167 delegatów z głosem doradczym.

Na wieczornym posiedzeniu zakończona została dyskusja nad referatami sprawozdawczymi. Zjazd przyjął jednomyślnie rezolucję, aprobującą linię polityczną i działalność KC WKP(b).

Pelnicy na tym posiedzeniu obowiązki przewodniczącego obrad Ł. M. Kaganowicz poinformował delegatów, że na Zjeździe obecni są w charakterze gości przedstawiciele 44 bratnich partii komunistycznych i robotniczych. Jako pierwszy z gości zagranicznych wygłosił na Zjeździe przemówienie powitalne w imieniu PZPR Bolesław Bierut, który oświadczył m. in.: „XIX Zjazd WKP(b) stanie się dla całego międzynarodowego ruchu komunistycznego potężnym bodźcem i natchnieniem ideowym w jego dalszej walce”.



L. M. Kaganowicz

ŚRODA
8
Październik

Na posiedzeniu porannym Zjazd jednogłośnie zatwierdził sprawozdanie Centralnej Komisji Rewizyjnej WKP(b), poczem przystąpił do trzeciego punktu porządku dziennego — dyrektyw w sprawie pięcioletniego planu.

Referat na ten temat wygłosił przewodniczący Państwowej Komisji Planowania ZSRR — M. Z. Saburow. „Nowy plan 5-letni — powiedział Saburow — kontynuować będzie linię poprzednich pięcioletek, linię pokojowego rozwoju ekonomiki radzieckiej, systematycznego wzrostu gospodarki socjalistycznej i dobrobytu ludności”.



M. Z. Saburow

W dalszym ciągu referatu mównica przedstawił Zjazdowi imponujące wskaźniki rozwoju wszystkich dziedzin przemysłu, rolnictwa, handlu i transportu, plan szybkiego podniesienia stopy życiowej narodu radzieckiego, rozwoju sieci ochrony zdrowia, oświaty i kultury.

Po referacie wywiązała się dyskusja, w której wzięło udział ośmiu mówców. Między innymi zabrał głos N. A. Bułganin. Zwrócił on uwagę na ogromne trudności, jakie musiał naród ra-

łami faszyzmu — stwierdził Bułganin — nie wolno pominąć faktu, że do wywalczenia tego zwycięstwa wniosły swój wkład, obok Armii Radzieckiej, okryte chwałą Wojsko Polskie i Korpus Czechosłowacki, utworzone w dniach wojny na terytorium Związku Radzieckiego”.



N. A. Bułganin

Po wystąpieniach delegatów Zjazdu w dyskusji nad referatem M. Z. Saburowa, zabierali głos goście zagraniczni, którzy przekazali Zjazdowi pozdrowienia i życzenia od partii komunistycznych i robotniczych. W imieniu Komunistycznej Partii Chin przemówił Lu Szao-tsi, po którym zabrał głos przewodniczący Komunistycznej Partii Czechosłowacji, Klement Gottwald.

„Wyniki XIX Zjazdu WKP(b) — oświadczył Gottwald — a także nowa fundamentalna praca towarzysza Stalina „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR” będą i dla nas niewyczerpanym źródłem doświadczeń w naszej codziennej pracy, w naszej codziennej walce o zbudowanie i umocnienie ustroju socjalistycznego w Czechosłowacji, w walce o zachowanie pokoju”.

W dalszym ciągu obrad przemówienia powitalne wygłosili: Luigi Longo (K. P. Włoch), M. Rakosi (Węgierska Partia Pracujących) oraz Harry Pollitt (K. P. Wielkiej Brytanii). Odczytano też tekst depechy powitalnej, którą nadesłał sekretarz generalny K. P. Japonii — Tokuda.



A. I. Mikojan

W dalszym ciągu trwała dyskusja nad referatem w sprawie dyrektyw dla nowego planu pięcioletniego. Między innymi zabrał głos A. I. Mikojan, który w swym przemówieniu omówił obszernie plany dalszego podniesienia dobrobytu ludności ZSRR i przytoczył interesujące dane, dotyczące produkcji artykułów konsumcyjnych w Związku Radzieckim. Tak na przykład w roku 1955 konsumpcja ryb będzie 2 razy, sera — 3 razy, masła — 2,7 raza większa niż w roku 1940.

Dzięki kilkakrotnemu obniżeniu cen konsument radziecki może już dziś za te same pieniądze kupić dwa razy tyle towarów, co w 1947 roku.

W wystąpieniu swoim A. I. Mikojan omówił także rosnącą wymianę towarową krajów obozu pokoju, opartą na wzajemnej pomocy i ścisłej współpracy w podnoszeniu poziomu gospodarki.

Poziom cen środków żywnościowych w r. 1952 w procentach cen z końca roku 1947

	ZSRR	USA	Anglia	Francja
chleb . .	39	128	190	208
mięso . .	42	126	135	188
masło . .	37	104	225	192
mleko . .	72	118	130	174
cukier . .	49	106	233	376

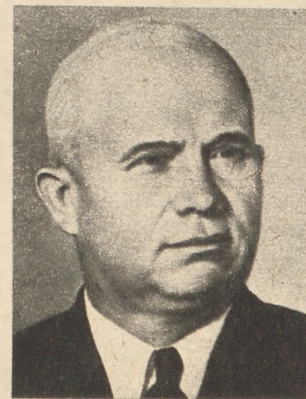
Po wystąpieniach dyskutantów Zjazd przyjął jako podstawę omawiany projekt w sprawie nowej pięcioletki i wybrał Komisję do rozpatrzenia poprawek i uzupełnień do projektu dyrektyw.

W czasie obrad przemawiali dalsi przedstawiciele partii zagranicznych: Wytko Czerwenkow (K. P. Bułgarii), G. Gheorghiu-Dej (Rumuńska Partia Robotnicza), Enver Hodża (Albańska Partia Pracy), reprezen-

tanci komunistycznych partii Finlandii, Australii, Argentyny i Belgii oraz Mongolskiej Partii Ludowo-Rewolucyjnej. Odczytano także depeşe, które nadesłali na Zjazd Adzola Ghosz, sekretarz generalny K. P. Indii oraz L. Carlos Prestes, sekretarz generalny K. P. Brazylii.

PIĄTEK
10
Październik

Na posiedzeniu porannym Zjazd przystąpił do czwartego punktu porządku obrad. Referat na temat „Zmiany w Statucie WKP(b)” wygłosił sekretarz KC WKP(b) — N. S. Chruszczow.



N. S. Chruszczow

Mówca podkreślił na wstępie, że nowe zadania budownictwa komunizmu stawiają organizacjom partyjnym, wszystkim członkom partii coraz wyższe wymagania. Od czasu XVIII Zjazdu partia wzbogaciła się o nowe doświadczenia budownictwa partyjnego, które winny znaleźć odbicie w Statucie. Następnie N. S. Chruszczow obszernie omówił i uzasadnił wprowadzane do Statutu zmiany i uzupełnienia. Zmieniony Statut będzie — według słów Chruszczowa — „ważnym środkiem wzmocnienia ideowego wychowania komunistów, kadr partii i państwa w duchu leninizmu, dalszego rozwijania wewnątrzpartyjnej demokracji, krytyki i samokrytyki”.

Po referacie wywiązała się dyskusja. Zabierali w niej głos przedstawiciele Białorusi, Moskwy, Jakuckiej Republiki Autonomicznej, Leningradu, Azerbejdżanu, Ukrainy, Uzbekistanu.

W trakcie dyskusji wygłosili przemówienia powitalne dalsi delegaci zagraniczni. W imieniu Komunistycznej Partii Francji zabiera głos jej sekretarz generalny, Maurice Thorez. Thorez powtórzył w imieniu ludu Francji uroczystą przysięgę, że naród francuski nigdy nie będzie walczył przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Pozdrowienia dla XIX Zjazdu przekazali także Dolores Ibarruri (K. P. Hiszpanii) oraz przedstawiciele partii komunistycznych Kuby, Norwegii, Wenezueli i Algieru.

SOBOTA
11
Październik

Uczestnicy Zjazdu w dalszym ciągu zabierali głos w dyskusji nad referatem N. S. Chruszczowa. Występowali delegaci obwodu Saratowskiego i Woroneżskiego, Moskwy, Sachalinu, Baszkirii, Buriat-Mongolii, Ukrainy, Litwy, Gruzji i inni. Po zakończeniu dyskusji Zjazd jednogłośnie postanowił przyjąć jako podstawę tekst zmienionego Statutu partii oraz wybrać Komisję do rozpatrzenia i wniesienia poprawek i uzupełnień do zmienionego Statutu.

Pelnicy funkcje przewodniczącego na posiedzeniu porannym J. Szajachmietow zakomunikował delegatom, że nadeszła depeşa od delegatów Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych, którym rząd USA nie wydał wiz wyjazdowych, uniemożliwiając im tym samym przybycie na Zjazd.

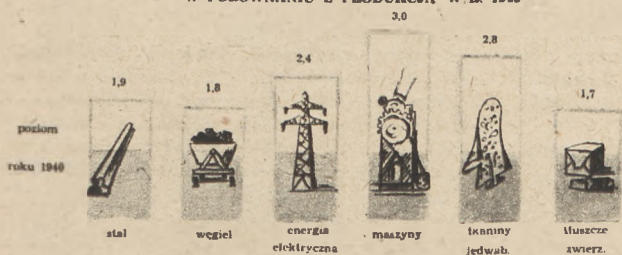
W imieniu Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności (SED) pozdrowił Zjazd przewodniczący partii, Wilhelm Pieck. Opowiedział on zebranym o walce narodu niemieckiego, pragnącego zjednoczenia Niemiec w pokojowe, demokratyczne państwo. Przemówienie Piecka przyjęli delegaci gorącymi oklaskami.

Następnie przekazali Zjazdowi pozdrowienia i życzenia przedstawiciele komunistycznych partii Urugwaju, Holandii, Szwecji, Turcji, Iranu, Grecji, Triestu, Syrii i Libanu.

Po jednodniowej przerwie XIX Zjazd WKP(b) wznowił w dniu 13 października obrady. Uchwalone zostały rezolucje: o zmianie nazwy partii na „Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego”, o zatwierdzeniu nowego Statutu KPZR; oraz o ponownym opracowaniu programu KPZR.

W chwili oddawania numeru do druku obrady Zjazdu trwały.

PRODUKCJA NIEKTÓRYCH DZIEDZIN PRZEMYSŁU ZSRR W ROKU 1952 W PORÓWNIANIU Z PRODUKCJĄ W R. 1940



dziecki pokonać w czasie ostatniej wojny, trudności, wobec których załamało by się każde inne państwo. Zwycięstwo nad hitleryzmem zawdzięcza naród radziecki między innymi zbudowaniu w czasie pięcioletek ciężkiego przemysłu, wysokiemu poziomowi moralno-politycznemu Armii Radzieckiej i genialnemu kierownictwu Józefa Stalina. „Mówiąc o naszym zwycięstwie nad si-



LUDZIE WALKI O POKÓJ I WOLNOŚĆ

Radiogram własny „Świata“ z Pekinu

TWARZ i ręce tego człowieka mówią same za siebie. Opalone i okaleczone, pokryte dziesiątkami oparzelin, są widowym znakiem jego życia i przeszłości. Nazywa się Ngo Gia Kham. Urodził się w jednej z tysięcy bliźniaczo do siebie podobnych wietnamskich wiosek. Uczył się w dzieciństwie cierpieć głód i przeżywać nędzę w sąsiedztwie luksusowej willi francuskiego plantatora. Poznał gorycz niedoli ucieszonego narodu. W miarę jak otwierały mu się oczy na krzywdę narodu, rosła w nim głucha nienawiść do eksploatatorów. Widział, jak obcy najeźdźcy trwonią beczenne dobra wietnamskiej ziemi, jak korzystają z nich wyzyskując nieludzko pracę ludu wietnamskiego. Nie chciał się przyglądać temu beczynnie i dlatego stanął do walki.

Od wsi do wsi szedł jako agitator walczący z kolonizatorami. I wszędzie znajdował innych, myślących tak jak on, ludzi rwących się do czynu. Szły za nim listy gończe, tropiła go policja francuska i nieraz przyszło mu zaznać okrutnego traktowania na posterunku żandarmerii; niejedną noc spędził w ponurym lochu francuskiego więzienia w Vietnamie. A potem przyszła wojna i napaść japońskich militarystów na Vietnam. Ngo Gia Kham, zaprawiony i doświadczony bojownik o wolność swego kraju, jako jeden z pierwszych staje na wezwanie rzucone przez partię komunistyczną, wokół której skupia się Front Narodowy. Lud wietnamski chciał walczyć, ale nie było broni, nie było na rozległej ziemi wietnamskiej odpowiednich fabryk. Wtedy Ngo Gia Kham zakłada mały warsztat, w którym zaczyna produkować pierwsze granaty. Nie zraża go brak doświadczenia, ani to, że zdarzają się eksplozje, że w wyniku jed-

nej z nich zostaje okaleczony na całe życie. Ledwie wraca do zdrowia, staje znów przy swoim warsztacie, pracując jeszcze ofiarniej.

Rosły siły wietnamskiej partyzantki i rosły we wszystkich zakątkach kraju podręczne warsztaty broni, zakładane za przykładem Ngo Gia Kham.

Na pytanie, co robi dzisiaj, czy porzucił pracę — Ngo Gia Kham odpowiada przeczącym kiwnięciem głowy i jakby odruchowo wyciąga ręce przed siebie.

Odpowiada: Nie mógłbym nigdy porzucić pracy. W ciągu wielu lat nabyłem doświadczenia i teraz staram się je przekazać innym. Dziś naród mój ma coraz potężniejszą armię narodowo-wyzwoleńczą, która dzięki wysiłkowi tysięcy robotników zaopatrywana jest w broń fabrycznej produkcji, i ja właśnie jestem jednym z pracowników takiej fabryki broni. Mój naród postanowił, że nie spocznie, dopóki nie zdobędzie sobie prawa do wolnego i pokojowego życia, póki nie zdobędzie sobie prawa do budowania własnego szczęścia, takiego, za które oddały życie tysiące najlepszych synów mego kraju.

Na Kongresie Obrońców Pokoju w Pekinie Ngo Gia Kham — wybrany przez naród wietnamski, jako bohater pracy, na delegata — reprezentuje wolę swego narodu, pragnącego, aby pokój był trwały i niepodzielny, aby narody były braterskie, aby narody miały prawo do niepodległości.

Wysoki, postawny mężczyzna o płonących oczach prosi o niepodawanie jego imienia ani nazwiska. Przyjechał tu z dalekiej Kolumbii. Kiedy opowiada o sytuacji w swojej ojczyźnie, w oczach zapala mu się gniewny blask.

Mówi o tym, jak ogromna jest tragedia narodu kolumbijskiego, gnębiętego przez faszystowską dyktaturę Gomeza i jego protektorów, monopolistów amerykańskich. Palec Kolumbijczyka zwolna przesuwając się po barwnej mapie, na której znajdują się dzwiczne nazwy prowincji i miast. W tym miejscu — palec zatrzymuje się na jednym z punktów w prowincji Tolima — było jeszcze niedawno wielkie miasto Libanu, zamieszkałe przez trzydzieści tysięcy ludzi. Dziś tu nie ma miasta — widać tylko jedno wielkie pogorzelisko. Mieszkańcy miasta uciekli przed mordercami z armii rządowej i policji. Ponad 1.200 osób, w tym wielką liczbę kobiet i dzieci, pomordowano w bestialski sposób. Dreszcz grozy przenika, kiedy się słucha tych słów, ale Kolumbijczyk oczami daje znak, że to jeszcze nie koniec.

Daleko, bardzo daleko do wyczerpania listy zbrodni rządu Gomeza. Nie ma miasta Bella Vista, i nie ma miasta Betania, i nie ma miasta Villa Rica; znikło w Kolumbii wiele, wiele miast i wiosek, do których wkroczyli żołnierze faszystowskiej klikki, by rozprawić się z miłującymi wolność i pokój, spokojnymi mieszkańcami. I oto, według oficjalnej statystyki, daleko niepełnej, w ciągu ostatnich trzech lat ofiarami mordu i bestialstw gomezowskiego żołdactwa padło 50.000 ludzi. Ilu zamordowano naprawdę, tego dokładnie nie wie nikt. Bo o zbrodniach rządu kolumbijskiego milczy sprzedajna prasa. Milczy ta sama prasa również o tym, że naród kolumbijski nie godzi się z faszystowską dyktaturą i nie godzi się z wprowadzonym przemocą amerykańskim stylem życia. Naród kolumbijski walczy.

Znów palec mego rozmówcy wędruje po mapie i pokazuje, gdzie znajdują się ogniska partyzantów, gdzie i jakie tereny kontrolowane są przez lud. Przez chwilę palec zatrzymuje się na zielonej plamie Llonas Orientales, rodzinnym kraju mego rozmówcy. Tu działają silnie uzbrojone oddziały partyzantów i tu rodzi się nowe życie, wolne od wyzysku, takie, o jakim marzy i o jakie walczy naród kolumbijski.

Nie łatwo było nam wybrać się z Kolumbii — mówi — i nie wiemy, co nas czeka po powrocie, ale przyjechał tu, do Pekinu, było naszym świętym obowiązkiem. Tam, gdzie mowa o walce o pokój, tam, gdzie mowa o prawie narodów do niepodległości, tam, gdzie mowa o zbrodniach imperializmu i jego agentur, nie może zabraknąć głosu narodu kolumbijskiego. Przywieźliśmy z dalekiej Kolumbii najserdeczniejsze pozdrowienia dla bohaterskiego narodu koreańskiego. Wiemy, że sztandar Ko-

lumbii okryty jest hańbą, bo Gomez w zamian za broń i pomoc w ujarzmianiu narodu kolumbijskiego, wysłał do dyspozycji amerykańskich ludobójców na Kreci kilka oddziałów siepaczy, zaprawionych uprzednio w mordowaniu chłopów i robotników kolumbijskich. Chcemy powiedzieć naszym koreańskim braciom, że ich walka jest naszą walką, że ich wróg jest naszym wrogiem, i chcemy powiedzieć całej ludzkości, że musi się ona zjednoczyć i wyteńczyć wszystkie siły do walki o pokój, aby nigdzie nie powtórzył się los umęczonej Korei i bohaterskiego Vietnamu, aby nigdzie nie mogła powtórzyć się tragedia ziemi malajskiej i tragedia ludu koreańskiego.

• • •

Różni ludzie spotykali się z sobą na Kongresie w Pekinie, ale wszyscy przemawiali jednym i tym samym językiem: wszyscy doskonale widzą swego wspólnego wroga. Wszyscy bogaci są w doświadczenia walki o pokój, wszyscy rozumieją, że utrwalenie pokoju zależy przede wszystkim od tego, aby narody Azji i Pacyfiku mogły same decydować o własnych losach, mogły uzyskać i utrwalić swą niepodległość. Bo wszędzie tam, gdzie rządzą imperialistyczne marionetki, los narodów jest zagrożony, rośnie nędza i rośnie niebezpieczeństwo wciągnięcia tych narodów do planowanej przez imperializm amerykański wojny.

Mówi mi o tym jeden z czołowych działaczy ruchu pokoju w Japonii, Togo Kameda. Opowiadając o losie swego narodu pod okupacją i rządami Joshidy, mówił o losie dzieci sprzedawanych przez rodziców. Bo wielu rodzinom japońskich robotników i chłopów nie pozostaje nic innego, jak sprzedać dzieci albo skazać je na głodową śmierć. Opowiadał mi o jednym z robotników, który za zorganizowanie strajku został wtrącony do więzienia i nieludzko skatowany. Uciekł on następnie z więzienia i dziś, nieuchwytny dla policji, zjawia się w różnych fabrykach i wsiach, wzywając ludzi pracy do walki o wyzwolenie Japonii, do walki przeciw niebezpieczeństwu wojny.

Z opowiadań delegatów wyrastają sylwetki bohaterów walki o pokój, sylwetki niezłomnych bojowników, którzy wszystkie swe siły poświęcili walce o szczęście człowieka.

Często imiona tych bohaterów są nieznane, często znikają oni za bramami więzień, których nie opuszczają nigdy. Ale ich przykład, choć bezimienny, niby promień słońca rozjaśnia drogę przez mrok, drogę ku pokojowi i wolności.

• • •

Rozmowy delegatów zaczynają się od wzajemnego przedstawienia. Niekiedy ludziom trudno jest wymówić nazwisko nowopoznanego przyjaciela z dalekiego kraju. Ale bez zająknięcia potrafi każdy z nich opowiedzieć życiorys tego przyjaciela i wszystko to, co zrobił on dla pokoju. Bo to jest właśnie najważniejszy i właściwie jedyny miernik wartości człowieka.

Louis Wheaton, amerykański ślusarz, jeden z czołowych bojowników o pokój w Stanach Zjednoczonych, opasuje ramionami kilku otaczających go delegatów z różnych krajów.

— Nie gniewajcie się na mnie — mówi z uśmiechem, i na tle czarnej twarzy odcina się wyraźnie oślepiająca biel jego zębów — nie gniewajcie się, że tak natarczywie pytam was o to, coście zrobili dla pokoju. Zrozumcie, że to przecie takie ważne wiedzieć o sobie wszystko, co decyduje, że jesteście silni, niezwyciężeni. Na przykład — tu przegarnia mocno szczupłego Filipińczyka, Manuela Cruza — ty piszesz wiersze, które są płomiennym wezwaniem do walki o wolność Filipin. Twoje wiersze powtarzają później bohaterscy partyzanci filipińscy. Przed bitwą słowa twoich wierszy są zachętą, natchnieniem filipińskich patriotów. Czyż to samo nie jest warte poematu?

Manuel Cruz uśmiecha się z zażenowaniem. I odpowiada: Przecież to jest mój obowiązek, prosty, ludzki obowiązek, którego nie spełniać jest zbrodnią. To, co robimy, robimy wszyscy w poczuciu odpowiedzialności, jaka spoczywa na każdym z nas za losy każdego człowieka. Tak walczyć o pokój, to zaszczytny i święty obowiązek każdego z nas.

Wezwanie do spełniania tego obowiązku jak najofiarniej i jak najskuteczniej, rozbrzmiewa dziś w Pekinie i płynie przez cały świat.

MARIAN BIELICKI

PRAWIE STENOGRAM

W TYCH dniach i w tych tygodniach, na terenie całego kraju w Komitetach Frontu Narodowego ogniskuje się agitacja przedwyborcza. Tu powstają i rozwijają się nowe metody przekonywania, tu nawiązuje się najbardziej bezpośrednie kontakty między ludźmi, tu Program Wyborczy Frontu Narodowego staje się naprawdę własnością człowieka.

Pragniemy dziś dla przykładu opowiedzieć Czytelnikom „Świata“ o działalności Komitetu Obwodowego Frontu Narodowego Nr. 65 w Warszawie. Oto dwa wieczory jego pracy, widziane przez reportera i fotoreportera.

Poniedziałek 6 października, godz. 18: Komitet analizuje własną pracę.

W starannie udekorowanym lokalu przy ul. Mazowieckiej zbierają się ludzie. Członkowie Obwodowego Komitetu Frontu Narodowego Nr. 65 zajmują miejsca przy długim stole. Przewodniczący, ob. Pawłowski, profesor liceum na Pradze, otwiera obrady. Ob. Zychowicz precyzuje zadania. Czas — twierdzi — pogłębiać polityczną pracę

w terenie. Musimy zdać sobie sprawę, ilu i jakich ludzi zdołaliśmy naprawdę zaktywizować? Czy potrafiliśmy słusznie pokierować pracą agitatorów? Agitator musi pomóc wyborcy w rozwikłaniu trudności, w usunięciu bolączek, jeśli to jest możliwe, ale agitacja nie może w żadnym wypadku opierać się na obietnicach, których na razie jeszcze spełnić nie możemy. Agitacja musi polegać na pokazywaniu perspektywy, na umiejętności związania wyborcy ze sprawą naszej przyszłości. Agitacja musi umieć rozprawić się z plotką szerzoną przez wroga.

Przewodniczący uważa poruszone sprawy za nader ważne. Wysiłki zaktywizowania wyborców już przyniosły owoce. Oto zgłosiło się do pomocy Komitetowi kilkanaście osób, dotychczas biernych. Ale za mało jeszcze umiemy zagrzewać ludzi przez uświadamianie im wszystkiego, co się w Polsce od ośmiu lat zmieniło. Nasza propaganda nie posługuje się „kielbasą wyborczą“. Opiera się tylko na prawdzie.

URZECZYWISTNIENIE programu Frontu Narodowego, przyspieszenie wykonania Planu Sześcioletniego oznacza: wzrost realnych zarobków robotnika i inteligenta, poprawę zaopatrzenia emerytów, inwalidów i rencistów, wzrost poziomu życiowego chłopca pracującego, umocnienie i stałe rozszerzanie zdobyczy ludu pracującego zagwarantowanych przez Konstytucję.

Od nas samych, od naszej świadomości, ofiarności i aktywności zależą postępy naszego budownictwa.

Wykonanie z nadwyżką zadań pierwszych lat pozwoli nam przedterminowo wykonać Plan Sześcioletni.

Z Programu Wyborczego Frontu Narodowego



Do lokalu Komitetu nr 65 przybył kandydat na posła, ob. Adamowski (po środku). Na salę wprowadza go przewodniczący Komitetu, ob. Pawłowski (po prawej).

W naszym obwodzie jest wiele złych mieszkań. Ale jest też wiele mieszkań nowych. Nie możemy wszystkim, którzy mieszkają źle, obiecywać w nadchodzącym roku kapitalnych remontów. Ale możemy ich zapewnić, że w ciągu kilku lat stanie w Warszawie znów wiele, wiele nowych bloków.

Dyskusja ożywia się. Z poszczególnych wypowiedzi dowiadujemy się, jak agitatorzy pomagali wyborcom. Młodego człowieka, który chciał się uczyć skierowano do Technikum Korespondencyjnego, gdzie będzie studiował radiotechnikę. 3 października wysłano do Dzielnicowej Rady Narodowej pismo o niedociągnięciach organizacyjnych w jednym z hoteli robotniczych na terenie obwodu. W badaniu jest sprawa przeciekania dachu przy ul. Królewskiej 11. Wśród rejestrowania tych spraw raz po raz odzywiają się głosy: „Nie od razu Kraków zbudowano. Agitator musi umieć porównać dzień dzi-

siejszy z wczorajszym i odsłonić perspektywę jutra“.

Za chwilę poznamy agitatorów osobiście. Schodzimy na parter.

Godz. 19.15: Seminarium agitatorów.

Agitatorzy zdają sprawę ze swej pracy na terenie hotelu robotniczego przy ul. Traugutta. „Byłem tam dwa razy — powiada jeden z nich — rozmawiałem z młodym chłopcem z Białegostoku. Był on niemal zaskoczony, że ktoś z nim rozmawia. Widać, że nikt z nim nie mówił o jego pracy, o jego możliwościach i trudnościach, o budowie, o Polsce“. „Ja zająłem się przybyszami ze wsi — oświadcza inny. — Jeden zaczął od białdolenia. Ale zaraz pewien przedwojenny stolarz-chałupnik przypomniał mi, że przed wojną tylko kułak miał pieniądze. On sam prawie stale chodził bez pracy. Później mówiliśmy o komunikacji dla tych, co mieszkają pod Warszawą. Skarżyli się. Ale im powiedziałem o rozbudowie węzła warszawskiego i że do ulepszenia warunków my wszyscy musimy się przyłożyć własną pracą. Przyznali rację“.

— A co wam dały te spotkania z ludźmi — pyta wykładowca. — Czy i wyście się czegoś nauczyli?

Pierwsza odpowiedź: — Mnie dużo opowiadali ludzie ze wsi, że dopiero za Polski Ludowej im się dobrze powodzi, że mają pracę i spokój i zdobycze na wsi. I ja ich słowami będę uświadamiał innym.

Druga odpowiedź: — Ja na przykład dowiedziałem się u budowlanych, jakie w ich Zjednoczeniu są złe rzeczy przy pracy. Niepunktualne wypłaty, zła stolówka. I właśnie stąd wynika, że u nas, w naszym zakładzie pracy, nie wolno do takich rzeczy dopuścić.

Wykładowca stwierdza, iż widać z dyskusji, że agitatorzy rozumieją swoje zadania, że wiedzą, co się należy robotnikom od Polski Ludowej, a co Polsce Ludowej od robotników. — „Kole-dy — wzywa wykładowca — nie chcemy wam narzucać zbyt dużo zajęć, wiemy, że solidnie pracujecie. Ale dobrze by było zająć dziś jeszcze do hotelu robotniczego. Kto się pisze?

— Myślę, że cała pierwsza grupa — pada odpowiedź.

Idziemy.



Grupa młodych ludzi odwiedziła lokal Komitetu. Okazało się, że mieszkają w hotelu robotniczym i nie mają świetlicy — Żądajcie, żeby kierownik hotelu lepiej wykonywał swe prace — powiedzieli agitatorzy. — Bijcie się o wszystko czego wam trzeba

Dalszy ciąg na str. 6

Godz. 20.30: Wizyta w hotelu robotniczym.

Agitatorzy dzielą się na grupy.

Chłopczyk wyglądający prawie jak dziecko skarży się na pecha. Dopiero co ukończył lat 17. Gdyby miał rok więcej mógłby głosować. A tak musi czekać do następnych wyborów. Pracuje w warsztatach ślusarskich, a po południu chodzi do szkoły, do klasy VIII.

— Czy samiście tak postanowili?

— Tak, bo nie chcę żyć starożytnie. Uważam, że w Polsce Ludowej trzeba się uczyć.

— Pracujecie sam, czy w brygadzie?

— W brygadzie. Mieliśmy dziewięciu, ale teraz jest nas sześciu, bośmy bumelantów wyrzucili. Wyciągamy ponad 200 procent normy.

— A na cześć Programu Frontu Narodowego powzięliście jakieś zobowiązania?

— Tak, zaoszczędziliśmy osiem tysięcy.

— A macie tu w hotelu Koło ZMP? Milczenie.

— Może by tak zorganizować?

— Trudno mi, nie mam kiedy, rano praca, po południu szkoła. Przy pracy jest Koło. Ale tu trzeba też zorganizować Koło, macie rację. Tylko, że sam nie mogę. A szkoda, bo mnie się bardzo podoba społeczna praca.

— A koledzy by nie pomogli? — pyta agitator.

— Pomogę — odzywają się nieśmiało głosy.

Do rozmowy przyłączają się inni, starsi. Ktoś opowiada jak w wyborach za sanacji kandydat na posła, obszarnik, przedstawiał się za „rolnika”.

— Dziś nie ma oszukaństwa — mówi starszy już robotnik. — Nie mamy jeszcze wszystkiego co trzeba, ale samą prawdę nam mówią.

Agitator podchwytuje myśl starszego robotnika. Trzeba przyczynić się własną pracą do tego, żeby się nam los polepszał. Popatrzmy na ten kawał drogi, jaki uszliśmy od wczoraj do dziś. To nam powinno sił dodać. Siedemnastoletni robotnik z warsztatów ślusarskich uczy się. Stary robotnik spokojny jest o pracę. Jego syn kształci się na inżyniera, a córka chodzi do liceum. A wasze bolączki? O to, co można naprawić bieżąc, trzeba się bić. Żądajcie, żeby kierownik waszego hotelu lepiej wykonywał swą pracę, żeby nie brakowało w oknach szyb, żeby jak najprędzej opałanie wprowadzić, żeby biblioteka nie była zamknięta na cztery kłódki, żeby świetlicę urządzić i więcej gazet sprowadzać. Bijcie się o to wszystko. U nas krytyka służy do tego, żeby prędzej było tak, jak trzeba.

Słuchacze potakują.

Wtorek, 7 października, godz. 18: Spotkanie z kandydatem na posła.

Wielka sala wypełniona po brzegi. Kandydat Adamowski, członek Stronnictwa Demokratycznego, sekretarz Stołecznego Komitetu SD, opowiada o swym życiu.

Z ciężkim trudem w Polsce przedwojennej ukończył gimnazjum. Od czternastego roku życia musiał udzielać korepetycji. Jakoś dobił do matury. Potem rozczarowanie. Chciał studiować, lecz skąd wziąć pieniądze na czesne? Zarabiał przygodnie, zaczął medycynę, lecz studiów nie ukończył. Pamięta, kiedyś wpadła mu w ręce publikacja „Młodzież sięga po pracę”. Było to tragiczne świadectwo bezrobocia wśród młodzieży. Autor publikacji zanotował czyjś wstrząsający horoskop: wskutek wzrostu zgonów, spowodowanego sytuacją ekonomiczną i sanitarną, w roku 1950 szanse zdobycia pracy dla młodzieży będą lepsze. Kandydat Adamowski cieszy się, że dzisiaj, żeby dostać pracę, nie trzeba czekać, aż ktoś umrze.

— Gdzie kandydat pracował i pracuje oraz jakie ma osiągnięcia w pracy? — pyta ktoś.

— Podczas okupacji był pielęgniarzem i posługaczem w szpitalu w Suwałkach. Suwałki nazywały się wtedy Sudauen i należały do „eingegliederte Ostgebiete”. Za słowo po polsku groził co najmniej policzek. — „Kiedy weszła Armia Radziecka — opowiada kandydat — kiedy zwróciła mi ona prawo do mowy polskiej, rzuciłem się z całym zapalem do pracy dla Ojczyzny (oklaski). Jako medyk — chociaż nie ukończony — zacząłem się organizacją służby zdrowia. W roku 1946 zostałem przewodniczącym Powiatowej Rady Narodowej. Na terenie Białostoczczyzny drogi dziesiątkami kilometrów prowadziły przez lasy. W lasach były bandy. Wiedzieliśmy, że to w interesie wroga zbój z za węgla strzela do Polaka, próbuje mu przeszkodzić w pracy i w budowie. I choć wiele trzeba było samozaparcia, żeby iść naprzód — to jednak szliśmy naprzód i porywaliśmy za sobą innych (oklaski). Jaki duży kawał drogi uszliśmy od tego czasu! Dziś pracuję w Warszawie jako sekretarz Stołecznego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego. Praca wśród inteligencji trudniejsza jest, niż wśród robotników. Ale jednak wciąż idziemy naprzód.

Przewodniczący Obwodowego Komitetu Frontu Narodowego Nr. 65 dziękuje kandydatowi. Zebrani dziękują mu oklaskami. Za chwilę zgasną światła. Rozjaśni się ekran, na którym przewiną się barwne obrazy filmu radzieckiego „Śmiali ludzie”.

(K. Ch.)

Zdjęcia: P. Kornecka

KRAINA 40.000 JEZIOR



TO chyba najdziwniejszy na świecie rozkład jazdy. Opracowuje się go przez wiele miesięcy, uwzględnia się dane stacji meteorologicznych, komunikaty hydrologów, zamówienia przedsiębiorstw eksploatacji lasu. Do ostatniej chwili wprowadza się doń poprawki, zmiany, przesunięcia. I rozkład ten jest jednorazowy, obowiązuje przez miesiąc lub półtora, a czasem nawet krócej.

Karelia dostarcza gospodarce radzieckiej ogromne ilości drewna. Najtaniej i najwygodniej transportować je wodą, przez gęstą sieć, na którą składa się 40 tysięcy jezior oraz 6 tysięcy rzek i rzeczek. Ale sieć ta nadaje się do eksploatacji przez krótki okres — koniec wiosny i początek lata. Wtedy to wielkie ilości wody z tających śniegów zakrywają liczne progi i kamienie podwodne, umożliwiają spławianie tysięcy tratw i transportów z drewnem.

RZEKI O DWÓCH KIERUNKACH

Aby więc w ciągu krótkiego czasu wywieźć olbrzymie ilości drewna, aby nie dopuścić do powstawania zatorów i „korków”, aby sprawnie i bez strat doprowadzić miliony pni do portów, tartaków, papierni, fabryk mebli i celulozy — należy opracować bardzo szczegółowy rozkład jazdy, który uwzględniłby wszystko: okres tajania śniegów, poziom wody w rzekach i jeziorach, szybkość prądu i ilość i wielkość transportów drewna, ich trasę...

Plany przewozu drewna muszą uwzględniać takie zjawiska, jak rzeki, płynące raz w jednym kierunku, a raz w przeciwnym. Zdarza się to w Karelii dosyć często. Wyobraźmy sobie rzekę, łączącą dwa jeziora. Bywa niekiedy, że wokół jeziora niżej położonego wcześniej tają śniegi. Poziom wody szybko się w nim podnosi — i wody rzeki „płyną wstak”. Później taje śnieg nad drugim jeziorem i prąd rzeki odzyskuje dawny, normalny kierunek.

Obok tych nieoczekiwanych utrudnień istnieją też nieznane dawniej możliwości ułatwiania spławu drewna. Na kamienistych, wartkich rzekach Karelii powstają coraz nowe elektrownie wodne, a przy nich zapory i śluzy. I nieraz zdarzało się tak, że tratwa utknęła na mieliźnie. Sygnalizowano wtedy elektrowni, która zamknęła śluzę; poziom wody w rzece podnosił się i tratwa mogła swobodnie spłynąć.

Drewno karelskie znane jest w całym Związku Radzieckim. Jednym z najważniejszych jego odbiorców są kopalnie Zagłębia Donieckiego. Co roku ogromne transporty płyną przez Kanał Białomorsko-Bałtycki, który biegnie przez terytorium Republiki Karelo-Fińskiej, dalej przez jezioro Onega i system dalszych kanałów do Wołgi. W bieżącym roku transporty te mogą po raz pierwszy skorzystać z ogromnego udogodnienia, jakim jest Kanał Wołga-Don.

Powierzchnia Karelii stanowi zaledwie 0,8% ogólnego obszaru ZSRR, ale większa jest, niż obszar Portugalii, Danii i Holandii razem wziętych. Dwie



Wizyta w hotelu robotniczym. Agitator podchwytuje myśl starszego robotnika: — Trzeba przyczynić się własną pracą do tego, żeby się nam los polepszał...



trzecie terytorium Karelii zajmują lasy. Zasoby drewna oblicza się na z górą miliard metrów sześciennych, a roczny przyrost wynosi 12—13 milionów metrów sześciennych.

„KARIEL — KORU JEŁ”

Tak brzmiało popularne w carskiej Rosji przysłowie o Karelczykach, którzy z niedostatku musieli dodawać do jadła mielonej kory. W kołach urzędników carskich w stolicy — Petersburgu nazywano Karelię „podstołecznym Sybirem”. Nieliczna ludność Karelii — Karelczycy, Finowie, Rosjanie — żyła w nędzy i zacofaniu w tej krainie lasów, kamieni i jezior.

W stolicy Republiki Karelskiej, Pietrozawodsku, można zobaczyć w muzeum sprawozdania urzędników carskich o sytuacji robotników pracujących na wyрубie lasu u bogaczy rosyjskich Gromowa i Bielajewa oraz w holenderskiej firmie „Velgeusen”. Czytamy tam:

„Izby mają zazwyczaj dwa sążnie długości i szerokości i do sążnia wysokości. Mieści się w nich 25—30 ludzi. Tu śpią na narach, suszą onuce i przemarzniętą odzież... Niektórzy mieszkają wprost w lesie, w szałasach, i śpią na ziemi, przykrytej sianem. Za swą pracę otrzymują 20 kopiejek dziennie”.

Nic dziwnego, że Karelczycy masowo emigrowali do Stanów Zjednoczonych. Dziś obserwuje się zjawisko odwrotne — repatriację drwali i flisaków karelskich, która rozpoczęła się jeszcze przed

ostatnią wojną. Karelczycy znajdują w swojej ojczyźnie bez porównania lepsze warunki bytu, niż na emigracji. Mechanizacja pracy przy eksploatacji lasów stoi znacznie wyżej, niż w USA; w lasach wyrastają nowoczesne osiedla z elektrycznością, klubem, szkołą, radio-węzłem, kinem, sklepami...

Ludność Karelii rośnie szybko. Składa się na to wysoki przyrost naturalny i reemigracja; wpływa na to rozbudowa zakładów przemysłowych i kopalń cennych minerałów, szybki rozwój hodowli i rybołówstwa.

1.700.000 PASAŻERÓW SAMOLOTU

Nad jeziorem Sewan w słonecznej Armenii grupa ludzi ładuje ostrożnie na samochody niewielkie skrzynki. Szoferzy powoli niosą je na lotnisko, gdzie skrzynki z wszelkimi ostrożnościami zostają przeniesione na samolot. Maszyna powoli odrywa się od ziemi, niknie za górami...

W kilka godzin później samolot, który wystartował w skwarnej Armenii, ładuje na grubym lodzie, pokrywającym jezioro Onega. Czekający już ludzie możliwie delikatnie opuszczają do przełębi zawartość skrzynek: 1.700.000 jajeczek zapłodnionej ikry. Po paru miesiącach pluska się w wodach Onegi nowy mieszkaniec — sewañski pstrąg-olbrzym, jedna z najsmaczniejszych na świecie ryb.

Hydrologowie radzieccy stwierdzili, że jeziora Karelii — a wśród nich dwa największe w Europie, Ładoga i Onega — mogą wyżywić znacznie więcej ryb, niż normalnie w nich przebywa. W związku z tym zrodziła się myśl dodatkowego zarybienia jezior Republiki Karelskiej.

Obecnie jeziora dostarczają wielkich ilości łososi, karpia, szczupaków, siej, pstrągów, leszczy i innych ryb. Stały się one podstawą szybko rozwijającego się przemysłu konserwowego. W ciągu ostatnich kilku lat powstały dziesiątki nowych zakładów przetwórczych. Marka karelskich konserw rybnych zyskuje sobie uznanie na coraz nowych rynkach.

Produkcja konserw nie jest jedyną dziedziną przemysłu, który rozwinął się szybko w Karelii w okresie stalinowskich pięćdziesiątek. Jeszcze potężniej rozrósł się w tej krainie lasów przemysł papierniczy. Segeża, Kondopoga, Suojarvi, Laskela, Pitkiaranta — to nazwy miejscowości, w których pracują wielkie papiernie. Segeża — to największy w całym Związku Radzieckim kombinat papierniczy. Posiada maszyny, z których każda daje na dobę ilość papieru wystarczającą do wyprodukowania miliona książek.

MIKA I MARMUR

Przed rewolucją istniał w Karelii jeden zakład przemysłowy. Dziś przemysł karelski produkuje — obok papieru i konserw rybnych — dźwigi, gazogeneratory, maszyny okrętowe, sprzęt kolejowy, domki fińskie, meble, sprzęt rybacki, tkaniny...

Karelia była do lat dwudziestych pod względem geologicznym białą plamą. Eksploatowano tylko na doraźny użytek granit, z którego składa się podłoże całej Karelii. W latach pierwszej pięćdziesiątki pojawiły się w Karelii liczne ekipy geologiczne, które zapoczątkowały systematyczne badanie bogactw mineralnych kraju.

Obecnie kopalnie pod miastem Czupa są największym w Europie dostawcą miki — cennego produktu mineralnego dla przemysłu elektrotechnicznego. Nad jeziorem Ładoga znaleziono złoża metali kolorowych, a w licznych częściach Karelii odkryto dogodnie do eksploatacji zasoby rud żelaza. W pobliżu Kondopogi przystąpiono do eksploatacji ogromnych pokładów marmuru: białego z liłowymi żyłkami i jasnoszarego z czerwonymi. Jednym z odbiorców tego marmuru są nowe stacje moskiewskiego metra.

Dalsze badania doprowadziły do odkrycia wielu cennych minerałów, które będą podstawą produkcji cementu, szkła, porcelany, materiałów ogniotrwałych.

Ciche niegdyś lasy Karelii tętnią życiem. Padają stuletnie sosny, kraj przecinają nowe drogi i tory kolejowe. Pneumatyczne świdy wgrzyżają się w kamień, nad drzewami wyrastają kominy fabryk. Zapomniany przed laty „podstołeczny Sybir” przeobraża się w kraj nowoczesnego przemysłu.

EDWARD KARŁOWICZ



Kraina czterdziestu tysięcy jezior jest niezwykle bogata w ryby. Produkcja konserw rybnych jest ważną dziedziną karelskiego przemysłu. Oto przodownice pracy, Lidia Matasowa i Julia Rugaczewa, układają w autoklawach gotowe konserwy.

W latach władzy radzieckiej zbudowano i rozbudowano w Karelii wiele fabryk. Stocznia Oneżska, którą widzimy na zdjęciu, produkuje między innymi holowniki. Są one przed wypuszczeniem poddawane próbom w specjalnych komorach.



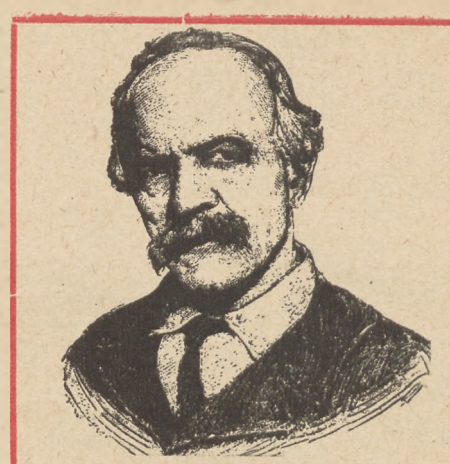


Eugeniusz Pottier

PIEŚŃ REWOLUCJI

W 65 ROCZNICĘ ZGONU E. POTTIERA
I W 20 ROCZNICĘ ZGONU P. DEGEYTERA

Napisał: JÓZEF KOZŁOWSKI



Piotr Degeyter

KONIEC maja 1871 roku. Krwią spłynęły barykady Paryża. Upadła bohaterska Komuna Paryska. Mordercy spod znaku Thiersa bestialsko rozprawili się z rewolucyjnym Paryżem.

W owych dniach „śmierci Paryża” wersalczycy rozstrzelali ponad 35 tysięcy komunardów. Rozstrzeliwano starców, kobiety i dzieci, nawet za samo podejrzenie o sympatię okazywaną komunardom. Ponad 40 tysięcy wtrącono do więzień i zesłano do dalekich kolonii. Wodzowie Komuny bądź zginęli bohatersko z bronią w ręku na barykadach, jak Charles Delescluze i Jarosław Dąbrowski, bądź zostali bestialsko zamordowani, jak Eugene Varlin, Emil Duval czy Teofil Ferre.

W dniach szalejącego terroru reakcji ukrywał się przed zemstą wersalczyków członek I Międzynarodówki i bojownik Komuny — Eugeniusz Pottier (1816—1887). W czerwcu 1871 roku napisał on wspaniałą pieśń rewolucji — nieśmiertelną „Międzynarodówkę”.

Jeszcze wiatr nie rozwiał dymu znad barykad paryskich, jeszcze rozlegały się salwy plutonów egzekucyjnych i jęki konających na Pere Lachaise, a już rozbrzmiały słowa wielkiej pieśni rewolucji, wzywającej uciemiężonych do kontynuowania walki pod niezwykłymi sztandarami marksizmu.

Pottier — wielki poeta walczącego proletariatu, poeta rewolucji — brał czynny udział w walkach rewolucyjnych w czerwcu 1848 r., kiedy lud Paryża wystąpił przeciwko „cesarstwu bankierów”. W 23 lata później był jednym z przywódców Komuny Paryskiej, jej bojowym poetą, który uwiecznił bohaterskie jej dzieje. W swych utworach: „Komuna Paryska”, „Powstanie”, „Komuna przeszła tędy”, „Komuna nie zginęła” i innych, przedstawił dzieje bohaterstwa i walki nieśmiertelnej Komuny.

„Międzynarodówka” jest poetyckim wyrazem historycznego Manifestu Komunistycznego. Idee Manifestu, obraz sprzeczności toczących ustrój kapitalistyczny, dziejowa rola klasy robotniczej i jej partii w walce o wyzwolenie ludzkości — znalazły swój wyraz w bojowych strofach tej wielkiej pieśni. W słowach „Międzynarodówki” zostały zawarte nieśmiertelne idee socjalizmu.

Internacjonalizm — którym przepełniona jest „Międzynarodówka” — święcił już poprzednio swój wspaniały triumf na barykadach Komuny, gdzie ramie przy ramieniu Polacy — Jarosław Dąbrowski, Walery Wróblewski, Rosjanie — Anna Jaclard, siostra słynnej matematyczki Zofii Kowalewskiej, i Elżbieta

Dimitriewa, Węgier — Leo Frankel i rewolucjoniści innych narodów walczyli o wolność ludu francuskiego i o wyzwolenie swoich narodów.

Pottier po upadku Komuny emigruje do Ameryki, gdzie bierze czynny udział w walce proletariatu amerykańskiego. Do Francji powraca poeta dopiero po ogłoszeniu w 1880 r. amnestii dla byłych komunardów.

Lud paryski cenił i kochał swego poetę. Nazywano go poetą przedmieść i barykad. Pieśni Pottiera rozpowszechniano w postaci ulotek w dzielnicach robotniczych, gdzie śpiewano je nawet w najcięższych latach reakcji.

W pogrzebie Pottiera w roku 1887 brali udział wszyscy byli uczestnicy walk Komuny i dziesiątki tysięcy robotników. Eugeniusz Pottier pochowany został wśród współtowarzyszy walk, na cmentarzu komunardów Pere Lachaise. Rokrocznie w rocznicę upadku Komuny odwiedzają groby komunardów niezliczone rzesze robotników francuskich. Tu, pod „ścianą komunardów”, rozbrzmiewa co roku wielka pieśń Pottiera — „Międzynarodówka” — symbol nieśmiertelnego dzieła bohaterskiej Komuny Paryskiej.

Nie dożył wielki poeta-rewolucjonista tych dni, kiedy „Międzynarodówka” stała się hymnem proletariatu światowego. Doczekał tych czasów twórca muzyki do „Międzynarodówki”, robotnik-kompozytor Piotr Degeyter (1848—1932).

Degeyter pochodził z belgijskiego ośrodka robotniczego — Gandawy. Był jeszcze małym chłopcem, gdy rodzice przenieśli się do Lille. Tam pracował jako tokarz, a w wolnych od pracy chwilach komponował pieśni robotnicze. W 1885 r. zakłada Degeyter robotnicze kółko śpiewacze. Jako dyrygent tego kółka dobiera repertuar pieśni odpowiednich tak pod względem artystycznym, jak i ideowym. W 1888 r. Degeyter otrzymuje tomik wierszy niedawno zmarłego Pottiera. Tomik ten, wydany w roku 1887 pt. „Pieśni Rewolucyjne”, zawiera opublikowaną po raz pierwszy „Międzynarodówkę”. Degeyter siada do swej fiszharmonii i komponuje melodię do „Powstańca”, a następnie do „Międzynarodówki”. 23 czerwca 1888 r. „Międzynarodówka” została po raz pierwszy wykonana przez amatorski zespół robotniczy Degeytera w czasie święta związku zawodowego w Lille.

Lotem błyskawicy rozszedła się „Międzynarodówka” Pottiera-Degeytera po Francji. Wspaniałe, pełne bojowości słowa oraz porywająca, rewolucyjna melodia szybko trafiały do serc milionów

wyklętych. W 1890 r. „Międzynarodówkę” śpiewano już w całej Francji. Począwszy od kongresu zjednoczeniowego socjalistów francuskich w 1899 roku „Międzynarodówka” stała się ich bojowym hymnem.

Na przełomie XIX i XX wieku „Międzynarodówkę” przełożono na wszystkie niemal języki świata. W 1902 r. „Międzynarodówka” przetłumaczona została przez rosyjskiego poetę-rewolucjonistę A. Koca na język rosyjski. Mimo zakazu śpiewania jej — szybko rozszedła się ona wśród rosyjskiej klasy robotniczej, towarzysząc jej w wielkich bojach klasowych.

Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Rosji często posługiwała się pło-miennymi słowami „Międzynarodówki” w masowej agitacji politycznej.

12 marca 1917 r. lud rosyjski obalił znieprawdopodobny ustrój carski. Proletariat rosyjski szedł do walki z „Międzynarodówką” na ustach.

W pięć dni po rewolucji lutowej wyszedł pierwszy numer legalnej „Prawdy”, w którym zamieszczono pełny tekst „Międzynarodówki”. „Prawda” pisała wówczas, że „Międzynarodówka” posiada tak wielkie znaczenie dla proletariatu, jak jego czerwony sztandar, i że melodia tej pieśni „bliższa jest sercu robotników wszystkich krajów”.

Lenin po przybyciu do Piotrogradu w dniu 3 kwietnia 1917 r. w przemówieniu wygłoszonym na dworcu Finlandzkim do witających go robotników ogłosił „Międzynarodówkę” hymnem partii bolszewickiej.

Gdy II Ogólnorosyjski Zjazd Rad proklamował w dniu 9 listopada 1917 r. powstanie pierwszego na świecie państwa socjalistycznego, „Międzynarodówka” stała się hymnem Związku Radzieckiego. Słowa refrenu „Międzynarodówki”: „Bój to będzie ostatni” zmienione zostały na: „Bój to jest nasz ostatni”. Nowe słowa refrenu symbolizują znaczenie zwycięskiego Października, pewność ostatecznego zwycięstwa. Tak też śpiewany jest obecnie refren „Międzynarodówki” w krajach demokracji ludowej.

Naród radziecki uczcił pamięć twórców hymnu proletariatu — Pottiera i Degeytera. W 1928 r. wódz proletariatu francuskiego Maurice Thorez i kompozytor Piotr Degeyter byli gośćmi Związku Radzieckiego na uroczystościach 1-Majowych w Moskwie. Wzruszająco opisuje Thorez radość sędziwego już kompozytora:

„Stałem obok Piotra Degeytera w Moskwie w 1928 roku, gdy defilowały przed nim przy dźwiękach „Międzynarodówki” tysiące, dziesiątki tysięcy robotników radzieckich. Po twarzy starego bojownika — rewolucjonisty spływały łzy. Hołd, jaki mu składał lud, był dlań najwspanialszą nagrodą”.

Przez 26 lat „Międzynarodówka” była hymnem państwowym Związku Radzieckiego. W latach Wielkiej Wojny Narodowej w końcu 1943 r. przyjęto w ZSRR nowy hymn państwowy, który odzwierciedla wielkie zdobycze kraju socjalizmu. „Międzynarodówka” pozostała tradycyjnym hymnem wielkiej partii Lenina — Stalina, partii bolszewickiej.

W Polsce „Międzynarodówka” znana była już w końcu XIX wieku w wielu przekładach.

W okresie rewolucji 1905 roku, w ogniu staczanych przez proletariat polski walk, pojawił się nowy, pióra nieznanego poety, przekład „Międzynarodówki”, który pozostał do chwili obecnej.

W grudniu 1918 roku odbył się Zjazd Organizacyjny Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (w 1925 r. przyjęła nazwę Komunistycznej Partii Polski). Obrady tego zjazdu zakończono odśpiewaniem hymnu KPRP — „Międzynarodówki”. Odtąd pieśń ta towarzyszyć będzie bohaterskim komunistom polskim w ich walkach przeciwko dyktaturze burżuazji.

Pomimo terroru i zakazów rozbrzmiewała ona w czasie akcji proletariackich. Śpiew „Międzynarodówki” był często odpowiedzią komunistów na wyroki sądu sanacyjnego. Wszędzie: na demonstracjach, w czasie strajków, w więzieniach, na pogrzebach bojowników poległych w walce — głosiła ona niezłomną wiarę w zwycięstwo wielkiej sprawy proletariatu.

„Międzynarodówka” i hasła rewolucyjne były często ostatnim słowem skażonych. Słowa „Międzynarodówki” zastęgały na ustach Hajczyka, Pilarczyka, Hibnera, Kniewskiego, Rutkowskiego, Botwina, Engla i wielu innych zamordowanych przez katów sanacyjnych.

Dziś „Międzynarodówkę” śpiewa wolny lud chiński, walczący naród koreański, śpiewa ją uciemiężony proletariat krajów kapitalistycznych i kolonialnych, śpiewają ją górnicy francuscy i hiszpańscy, śpiewają ją chłopcy brazylijscy i włoscy. „Międzynarodówka” jest hymnem mas robotniczych i chłopskich całego świata.

KŁĘSKA ANTYLUDOWEGO SPISKU

Fot.: UFP



Wypełniona po brzegi sala z napięciem słuchała nieodpartych słów oskarżenia. Jacques Duclos (przy stole prezydialnym po lewej), przemawiając na plenum KC KPF w Montreuil napiętnował zdradziecki krok rządu francuskiego, który... „pod egidą swych mocodawców amerykańskich, uknuł zbrodniczy spisek przeciwko Komunistycznej Partii Francji, partii, w której widzi zdecydowanego przeciwnika swej polityki antynarodowej”. W ciągu trzech miesięcy tajna policja dokonywała coraz to nowych aresztowań działaczy demokratycznych pod ładą pretekstem. Spisek ten był szczegółowo uplanowany i przeprowadzany z wielką konsekwencją — mimo to spalił na panewce. Reakcyjniści nie docenili siły klasy robotniczej Francji, ani głębi patriotycznych uczuć mas ludowych oraz ich oporu przeciwko polityce rządowej



Całkowitym niepowodzeniem zakończyły się również prześladowania antyfaszystów greckich, przebywających we Francji. Reakcyjniści usiłowali wydać w ręce morderców Belojannisa aresztowanych bezprawnie Greków — Trikalinosa i Lazarou, ale pod naciskiem opinii publicznej sąd zmuszony był odrzucić wniosek o ekstradycję i zwolnić więźniów

Szeroka fala protestów ogarnęła całą Francję, kiedy prasa doniosła o aresztowaniu syna Maurice Thoreza, ukochanego przywódcy francuskich mas ludowych. Podobnie, jak w obronie Duclos i Andre Stila, z całą stanowczością domagano się zwolnienia młodego Thoreza. Rząd zmuszony był ustąpić: syn przywódcy KPF odzyskał odebraną wolność

Uwolniono także Rogera Selb (na zdjęciu po lewej) i wielu innych patriotów. „Znaczne sukcesy odniesione przez naszą partię w walce przeciw spiskowi wykazują, jak wielkie są nasze możliwości oporu” — powiedział Jacques Duclos na wspomnianym plenum. „Oczywiście francuskie koła rządzące nie zrezygnowały z wcielenia w życie swoich zbrodniczych planów. Istnieje jednak możliwość zmuszenia ich do dalszego odwrotu i odniesienia nowych zwycięstw w obronie wolności i pokoju”. Jacques Duclos schodził z mównicy wśród gorących oklasków.



„ŚWIAT” przypomina!

Obrazek z kraju „demokracji”

W roku 1876 pewien młody dziennikarz warszawski bawił w Londynie przejazdem do Ameryki. W swojej korespondencji ówczesnej ze stolicy Anglii, obserwując publiczność Hyde Parku, pisał między innymi:

„Zdaje się, że te pieszczone dziewczyny arystokratyczne nie z krwi i ciała się składają, ale z mieszaniny promieni słonecznych, mgły, blasków jutrzeńki i duszy... Nigdy troska powszednia, nigdy żnój, nigdy zwykła ziemską niedola nie zachmurzyła żadnej z tych jasnych twarzy... Widzieliśmy wybranki, ale i potępionych niedaleko szukać. W tym samym Hyde Parku stoi oparty o barierę jeden z wolnych obywateli Zjednoczonych Królestw. Przypatrzmy mu się: obywatel ten ma lat szesnaście, dziury na łokciach, czoło idioty, spróchniałe zęby i wystrzępione majtki. Ma także jakiś surduty jakiegoś koloru, ale nie ma za to koszuli.

— Gdzie twój ojciec? — pyta nasz przewodnik.

— W Botany Bay.

— A matka?

— Matka robi pudelka.

— A siostry?

Ma ich trzy, robią także pudelka; ma także dwóch braci po lat ośm, którzy robią pudelka, i jednego lat trzech, który pomaga je kleić.

W Anglii całe setki i tysiące ludzi żyją z tej pracy, a raczej głód mrą z tej pracy.

Otóż i nasz potępiony! Matka jego chora, bo wszyscy, którzy dłużej robią pudelka, chorują; ojciec jego był zamiataczem ulicy, ale raz aresztowali go i wywieźli. Chłopak nie umie czytać i pisać, klnie za to nadzwyczaj wprawnie. Widać także, że trochę i pije, bo jak zimno, to dżin rozgrzewa.

— Czy umie też pacierz?

— Co? — pyta zdziwiony, otworzyłszy usta.

On tego nie umie, on umie robić pudelka, a to nie jego rzemiosło.

— Ale jeść ma ochotę?

Ma, ale nie ma pieniędzy, a ukraść się boi.

— Ale choć byś się nie bał, to nie zrobilibyś tego, bo to jest złe?

— Jużci złe, bo jak policja złapie, to trzeba do więzienia.

To dla niego przyczyna: inaczej by kradł. — A sumienie, chłopcze?

— Co to jest? Czy to się je, czy to się pije?

Czego od niego chcą? On przecie tu stoi spokojnie i nikomu nie zawadza.

Oto mały obrazek. Ach, ten wolny obywatel Zjednoczonych Królestw nie umie czytać, pisać, nie umie pacierza, nie wie co to jest Bóg; myśli, że sumienie się jada albo pije; nie słyszał o cnotcie; nie ma co jeść, pić i gdzie mieszkać, umie zaś robić pudelka. Tymczasem nędzka mówi do niego: „Zabij!” głód: „Ukradnij!”, chłód: „Upij się!”. Oto jego nauczyciele: innych nie ma. Czy ich posłucha? Tak: jak tylko przestanie się bać policji.

Ale co też ja mówię! Ten wolny obywatel Zjednoczonych Królestw ma przecież rozmaite prawa, z których może korzystać: habeas corpus; ma prawo głosowania; pełnomocnik jego będzie w swoim czasie przemawiał w Izbie Gmin. Co też ja mówię! Ten wolny obywatel jest nawet bogaty. A oto i ten Hyde Park, to przecież własność publiczna, a zatem własność i jego; a British Museum? A pałac Krysztalowy? A place, ogrody, gmachy publiczne? To wszystko jego. A przy tym on jest Anglikiem; do niego należą Indie, Australia, Kanada; on ma wojsko, flotę; to potentat prawdziwy. Ale czegoż tak drżysz na całym ciebie, potentacie? Aha! On jest na czczo od onegdaj. Masz oto szylinga biedaku: kup sobie co jeść.

Chłopak wytrzeszcza oczy. Szylinga?... Ależ on nigdy nie miał razem tyle pieniędzy! Szylinga? Potentat ogląda go z niedowierzaniem na wszystkie strony, następnie wydaje rodzaj radosnego wy-cia; chowa pieniądź do kieszeni, z której mu go żaden złodziej nie ukradnie, bo tą kieszenią są jego usta, i ucieka nie podziękowawszy nawet za datek.

A jednak ma Indie, Kanadę, Australię, pałace, ogrody! Straszne społeczne zagadnienie!

Oto prawdziwy obraz „angielskiej demokracji” w okresie najwspanialszego jej rozwoju. Nic właściwie do tego dodać nie trzeba.

Właściwie jeszcze jedno tylko objaśnienie: autor tej korespondencji, wspomniany na początku dziennikarz warszawski używał pseudonimu Litwos.

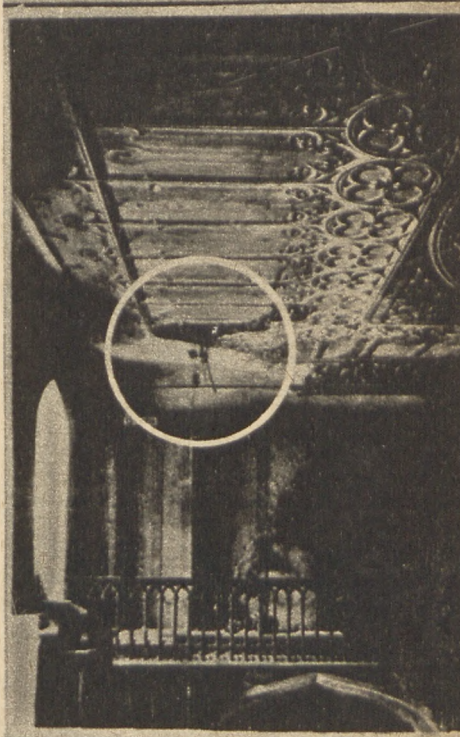
Nazwisko jego brzmiało: Henryk Sienkiewicz.

Sufity walą się w Bibliotece Jagiellońskiej

W związku z zamieszczonym przez „Świat” reportażem Pawła Herza z Biblioteki Jagiellońskiej, rozwijającej się, jak i inne biblioteki i muzea, pod troskliwą opieką władzy ludowej, ze „Światowida” z roku 1928, nr. 9, zamieszczamy fotografię noszącą tytuł jak wyżej i podpis głoścący m. in.:

„Najgenialniejsi ludzie nie posuną nauki naprzód, jeśli nie będą rozporządzać odpowiednimi środkami pomocniczymi. Do nich należą w pierwszym rzędzie książki. I oto najbogatsza i najstarsza księżnica polska, czcigodna Biblioteka Jagiellońska w Krakowie, z winy zaniedbania, spowodowanego brakiem odpowiedniej dotacji, zagrożona jest dzisiaj klęską zupełnej ruiny. Oto rycina z fragmentem zrujnowanego sufitu, grożącego całkowitym zawaleniem się”.

Sufity walą się w Bibliotece Jag.



Na stronie 2-jej rozpoczynamy serię „Przedstawienie Nauki Polskiej”. Pojmujemy ją jako hołd dla nauki naszej, tak wysoko i dawno stojącej. Ale najgenialniejsi ludzie nie posuną nauki naprzód, jeśli nie będą rozporządzać odpowiednimi środkami pomocniczymi. Do nich należą w pierwszym rzędzie książki. I oto najbogatsza i najstarsza księżnica polska, czcigodna Biblioteka Jagiellońska w Krakowie, z winy zaniedbania, spowodowanego brakiem odpowiedniej dotacji, zagrożona jest dzisiaj klęską zupełnej ruiny. Oto rycina z fragmentem zrujnowanego sufitu, grożącego całkowitym zawaleniem się.



W tej chacie, we wsi Kamienne na Podhalu, królowała niegdyś „babka Kłapycina“, której straszliwe praktyki opisała w swym pamiętniku dr Karasiówna. Wspomina je też ze zgrozą akuszerka, ob. Franciszka Niesytowa, która przed laty asystowała dr Karasiównie przy opisywanym przez nią zabiegu w tej wsi. Autorka pamiętnika już nie żyje — a ob. Niesytowa kieruje izbą porodową w Suchej. Izby takie, nowoczesnie wyposażone, rozrzucone są po najbardziej odleatłych wsiach całego kraju.

Napisał: LUCJAN WOLANOWSKI — Zdjęcia: ZDZISŁAW MAŁEK

WIZJA LOKALNA

przeprowadzona po 14 latach przez reporterów „ŚWIATA“ w okolicy opisanej w pamiętniku dr Zofii Karasiówny, wyróżnionym przed wojną pierwszą nagrodą na zorganizowanym przez ZUS konkursie na pamiętnik lekarza. (Wyjątki z pamiętnika drukujemy kursywą). Nieżyjąca już dziś dr Karasiówna praktykowała w Suchej na Podhalu. Garść faktów: za jej życia okolica ta była praktycznie pozbawiona szpitala; najbliższy był w oddalonych o 25 km Wadowicach, albo o 57 km — Nowym Targu. Dziś jest nowoczesny szpital w Makowie Podhalańskim (12 minut koleją do Suchej), na który w tym roku państwo wyda 715 tysięcy zł. Bliskość szpitala znacznie zwiększa szanse w walce o życie chorych. Dawniej ani jednego rentgena w całej okolicy — dziś są 3 aparaty w samym Makowie. Zupełnie zwalczono choroby weneryczne i jaglicę — nekające dawniej te strony. „Wizja lokalna“ jest fragmentem pracy ze zbioru pt. „Miliony słonecznych dni“.

O WIEZIENIU, HABSBURGACH I „SILNEJ SIOSTRZE“

DR LEONARD BOGUCKI opowiada mi dzieje kierowanego przez siebie od początku szpitala w Makowie. Składa się on z dwóch głównych budynków; jeden wybudowali dla swych oficjalistów Habsburgowie, do których cała ta okolica niegdyś należała. Później na piętrze mieścił się sąd, a lokale parterowe, nie odnawiane przez lata cale,

używali Niemcy podczas okupacji jako skład nawozów sztucznych. Cały ten budynek nie miał kanalizacji — na parterze było klepisko zamiast podłogi. Drugi budynek — to więzienie za czasów przedwojennych i okupacyjnych. Dom owiany taką grozą, że kiedy oddano go do użytku po przeróbce na cele szpitalne, jeden z nowoprzyjętych pacjentów postawił sprawę jasno: „Nie chcę leżeć tam, gdzie siedziałem!“. Dziś

— jest to już tylko wspomnienie — dla nowego pokolenia jest to tylko oddział zakaźny szpitala — i basta!

Trudno w dziejach makowskiego szpitala nie dopatrzeć się pewnego szablону, który jest udziałem naszej epoki. Przedstawmy sprawę — skoro już siedzimy w zagadnieniach służby zdrowia — po aptekarsku; wzięto starą rudę, domieszano nowe urządzenia, ożywiono poświęceniem ofiarnych jednostek — i powstał szpital, na który

Do szpitala w Makowie przywieziono chłopca z pobliskiej wsi. Rozpoznanie: skręt kiszek. Dr. Bogucki (po prawej) natychmiast przystępuje do operacji. Otwiera jamę brzuszną, wydobywa jelito esowate i układa w normalnym położeniu. Przez następne dni walka o życie chorego trwa nadal; codzienne transfuzje podtrzymują osłabiony organizm. Nowe szpitale, urządzone przez Polskę Ludową, poprawiają znacznie zdrowotność — szczególnie w wsi, dawniej niemal pozbawionej leczenia.



okoliczni górale czekali beznadziejnie od lat.

Dr Leonard Bogucki nie roztkliwia się wspomnieniami. Traktuje je raczej dobrodusznie, z humorem.

— Kiedy to było, doktorze? Sto lat, dwieście lat temu?

— Nie, przed kilku laty!

Opowiada, że przed kilku laty operował przy lampie kuchennej — dziś operacji dokonuje się w łagodnym świetle bezcieniowej lampy. Opowiada, że gdy trzeba było przy pewnych operacjach ułożyć nogi chorego wyżej od głowy, to „mieliśmy taką silną siostrę, która podnosiła z jednej strony stół i trzymała przez cały czas“. Nie trzeba chyba dodawać, że dziś jedno poruszenie dźwigni układa chorego w żądanym położeniu.

Zaczynamy wizję lokalną! Właściwie opowiada dr Zofia Karasiówna o wydarzeniach ze swej praktyki lekarskiej. Do tych cytów z jej pamiętników dorzucę tylko niekiedy fakty widziane własnymi oczami lub zasłyszane od bezwzględnie wiarygodnych ludzi, albo zaczerpnięte z urzędowych raportów. Żywy i bezpośredni styl samych pamiętników stawia wielkie wymagania przeprowadzającemu wizję lokalną reporterowi. Najbardziej kuszą oczywiście proste porównania poszczególnych wypadków. Najłatwiej jest powiedzieć: „Ot, widzicie, kiedy dawniej szanse górala, który w małej wiosce zachorował na wrzód żołądka, były takie i takie, to dziś...“ Nie zawsze jest to możliwe. Są bowiem pewne choroby, które zostały zwalczone masowo — na taką skalę, że wypadki indywidualne po prostu zatraciły się w masie. Dowiadywałem się tu i tam, że jakaś choroba przestała istnieć jako problem. Pewne choroby przechodzą na karty historii medycyny. Pewne choroby poczyną się uważać za choroby przeszłości — jak np. dżumę, nim imperializm amerykański nie postarał się o przywrócenie jej do dawnej świetności.

KAMIENNE

Prześlicznie położone jest Kamienne. Niedaleko nad Suchą. Trochę w prawo od stacji kolejowej. Potem w głąb doliny Zaspensicy. A potem w górę i w górę. Na grzbiecie spływającym od szczytu Magórki aż ku Stryszawie. Narciarski szlak.

Na Kamiennym króluje babka Kłapycina. Wszystkie porody odbiera. Stara to babka. Niejedną rodzącą przy niej umarła. Więc wie tyle: kiedy rączka wypadła, jest źle. Dziecko samo nie wyjdzie.

Więc przyjeżdża furman i mówi: „Dziecko rodzi się rączką“. Położenie poprzeczne na Kamiennym jest zaniebawianym poprzecznym. Bo babka próbuje najpierw ciągnąć za rączkę. Potem budzi męża rodzącej. Potem mąż się ubiera. Już dnieje, konie poszły orać. Kto teraz zechce dać konie i wóz po doktora. Może nikt. Może dopiero wieczorem ktoś się zlituje.

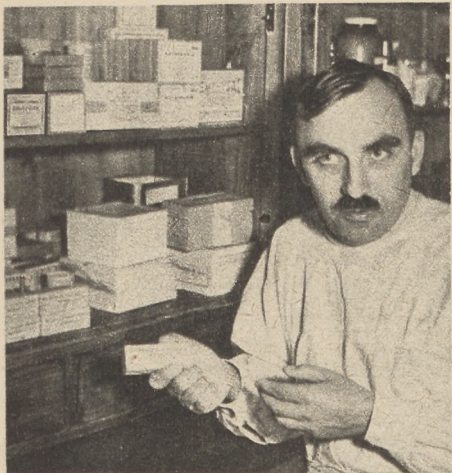
Po kilku godzinach dostaje mąż konia. Targuje się z furmanem. Furman naprawia coś przy wozie. Jadą do Suchej. Szukają doktora, który w domu. „Właśnie zeszywa jakąś ranę, nie mogę przerwać w połowie. Muszę jeszcze kilka osób załatwić, co najważniejsze. Ubezpieczeni tak prędko mnie nie wypuszczą. Muszę spakować narzędzia. Jedziemy“.

Przed kilku laty odbyłam praktykę na oddziale Szkoły Położnych w Krakowie pod kierownictwem dr Rutkowskiej. Był taki oddział przy szpitalu św. Łazarza. Jednym w Polsce oddział, gdzie lekarz mógł się zapoznać z położnictwem. Gdzie indziej nie ma dostępu. Uczy się dopiero, gdy przyjdzie na wieś. Na trupach własnej roboty.

Mimo to jadę do porodu jak na śmierć. Wiem, czym jest poród jak na śmierć.

Jedziemy. Jedziemy dwie godziny. Na Kamiennym kobieta krzyczy. Jest 10 godzin od wypadnięcia rączki. Doktora nie widać. Zeszły się wszystkie sąsiadki, siadają na brzuch i gnioł. Bóle, w coraz krótszych odstępach, przechodzą wreszcie w jeden ciągły ból oznaczający, że grozi pęknięcie macicy. Zabrałam po drodze akuszerkę. Wyrzuciłam babkę demonstracyjnie za drzwi. Nie zagrażała nawet wody do nardziedzi i mycia rąk.

Rozpakowanie narzędzi, wkładanie ich do sterylizatora, wlewanie spirytusu zabiera czas. Gotowanie trwa przepisowo 20 minut. Przez ten czas musimy wszystko poukładać, jak potrzeba. I babę, i stolki pod nogi, i przywiezione rzeczy, bo po 15-minutowym



„Ta ampułka mogła uratować dziecko w opisanym przez dr Karasiównę przypadku” — mówi dr L. Bogucki, dyrektor szpitala w Makowie, gdzie...

myciu rąk nie wolno ani lekarzowi, ani asystującej akuszerce niczego dotknąć prócz narzędzi.

Wyrzucone wszystkie kumoszki. Jedną polewa ręce przy myciu. Potem wychodzi też. Pomogłaby ze szczerego serca. Zamiotłaby przy tym spódnicą po instrumentach lub pomacałaby jeszcze palcem czy jeszcze gorące.

Krajanie dziecka trwa długo. Otwór pod pachą, przecinanie grzbietu. Przecięcie kregostupa. Z minuty na minutę cięćsze mięsień macicy. Czy pięknie przed skończeniem zabiegu? Nie wiem.

Na Litwie much dostatek — mówi poeta — na Kamiennem również. Gnój jest pod oknami izby, jak zawsze w porządnym gospodarstwie. Więc przylatują prosto z gnoju i siadają na narzędziach, na rodzącej, na naszych rękach. Ciągnie je zapach krwi. Przynoszą zakażenie.

Spód łóżka wyszedł bury kot, nie zauważony przedtem przez nikogo. Siada przy nas i łakomie patrzy na spadające mięso. Nie jada nigdy mięsa prócz myszy. Cud, że nie skoczył jeszcze do narzędzia.

Po przecięciu kregostupa dziecko składa się samo na pół. Wyjmując się łatwo każdą połowę z osobna. Macica nie zdążyła pęknąć. Muchy nie przyniosły zakażenia. Przypadek.

Nie pierwsze to poprzeczne zaniedbane na Kamiennem i innych okolicznych wzgórzach. Nie pierwsze i nie ostatnie.

Tylko prywatne pacjentki, ani jednej ubezpieczonej.

Ubezpieczone przychodzą już w czasie ciąży do lekarza. Pytają, czy wszystko w porządku. Można wtedy dziecko łatwo obrócić. Albo można przed porodem kobietę wysłać do szpitala. Niech ma lekarza na miejscu. Niech nie szuka koni, gdy życie wisi na włosku. Niech jedzie. Niech lekarz domowy ma spokój. Woli przebadać wszystkie ciężarne i co trzeba do szpitali powysyłać, niż tłuc się po górach do porodów.

Nieubezpieczona kobieta wiejska przed porodem do lekarza nie pójdzie. Na poród do szpitala nie pojedzie. Dobrze jeszcze, jeżeli z początkiem porodu wezwie akuszerkę egzaminowaną. Przynajmniej lekarz na czas przyjedzie i obrót wykona.

Kobieta z rejonu babki Kłapycinej akuszerkę nie wzywa. Woli rodzić na łasce babki i kumoszek. Na łasce furmana i koni, na łasce much i burego kota.

Akuszerkę, która wtedy asystowała dr Karasiównie w jej wyprawie na Kamiennie, znalazłem w Suchej bez trudu — jest kierowniczką tamtejszej izby porodowej. Franciszka Niesytowa pokazuje mi rejestr: od 24 kwietnia ub. r. do 18 września br. odbyły się tam 254 porody. Gdyby rodzice należały do rodzin panujących, to wydano by komunikat „Matka i dziecko czują się dobrze”. Ale że są to niemal wyłącznie chłopki z okolicy, więc sukces 254 udanych porodów cieszy nie dworską klikę, ale podhalańskich górali. Muszę też obejrzeć prowadzony dzień po dniu jadłospis. 20 września, czyli w dniu mego przybycia, powędrowały na salę dla leżących siedmiu położnic: kawa z mlekiem i bułka na śniadanie, herbata z mlekiem i bułka na drugie śniadanie, rosół z lanym ciastem, wołowina z buraczkami oraz kompot z jabłek na obiad — na kolację zaś dostały położnice owsiankę z mlekiem.

Była między nimi akurat jedna ko-

bieta z Kamiennego. I ona, i te pozostałe kobiety przez dziesięć dni leżą w warunkach lśniącej czystości, nie zajmują się żadną pracą, nie kłopotzą się o dzieci. Rodzą pod opieką wykwalifikowanej położnej, która w razie potrzeby wzywa mieszkającego opodal lekarza. Ubezpieczonych i małorolnych nic to nie kosztuje — najwyższa opłata zaś wynosi 21 złotych za dzień. Na miejscu jest podręczna, dobrze zaopatrzona apteczka. Dzieci otrzymują szczepienia przeciwgruźlicze.

Franciszka Niesytowa dobrze znała dr Karasiównę. „To był dobry lekarz i dobry człowiek. Zawsze była pełna różnych projektów. Pisywała po nocach. Pani Niesytowa — mawiała — jak pani będzie wracać od porodu, niech pani do mnie wstąpi, to sobie pogadamy. Pytała mnie raz, jak to ja sobie wyobrażam najlepsze warunki, w jakich chciałabym pracować. Kiwała tylko głową, kiedy jej powiedziałam. Wtedy to były takie sobie fantazje... O ona to pisała. Panie, to był człowiek na dzisiejsze czasy!”

— A jak wygląda teraz z „babkami”? Jak z zabobonem?

Obywatelka Niesytowa jest zdania, że „babki” tracą na wsi z dnia na dzień na znaczeniu, gdyż kobiety zdają sobie coraz lepiej sprawę z korzyści izb porodowych czy szpitali. Wiele znaczy rozdawanie wyprawek. Przede wszystkim zapewnia dziecku czyste i dobre odzienie, kiedy dawniej — wspomina ob. Niesytowa — trafiały się chaty, gdzie nie było nawet prześcieradła pod położnicą. „Raz dano mi taką szmatę, że brzydziłam się wziąć ją do ręki. Weźcie, weźcie — powiedziano mi — to trudno, że się zabrudzi, to się potem jakoś wypierze...” Dalej — kobieta zgłaszająca się po wyprawkę przechodzi przez badanie rentgenologiczne i analizę krwi oraz przez normalne badania ginekologiczne.

Znachorzy są już na wymarcu. „Praktykuje” jeszcze niejaki Kłęczar w Osieku i jakaś baba w Cięcinie. Coraz mniej już jest guseli i „zamawiań”, coraz mniej przesadów. Ob. Niesytowa pamięta, że kiedyś przed wojną wezwano ją do porodu do górskiej wioski. Zaszła potrzeba podwiązania brzucha położnicy. Jedyne względnie czyste kawałek materiału w chacie — to długie, męskie kalesony. Poród się udał. Po okolicznych wsiach zaczęto od tego czasu przewiązywać położnice męskimi kalesonami: „To pomaga — sama akuszerka z Suchej tak czaruje...”

Oglądam terazniejszość. Patrząc na siedmiu nowych obywateli Polski, drących się przerażliwie w łóżeczku. Widzę salę porodową i słyszę narzekania p. Niesytowej na ciasnotę. Przekonuje mnie, że jest w Suchej lepszy lokal, że to tylko od prezydium Gminnej Rady Narodowej zależy, że mamy dość loków, dość pościeli, dość prowiantu — tylko tak ciasno jest pracować, kiedy tu izba ma takie powodzenie. Jest pewna, że ostatecznie wywalczy „dla swych położnic” jeszcze lepsze warunki niż te, które są obecnie. Z tą pewnością spotkałem się nieraz w rozmowie z ludźmi służby zdrowia przy tej wizji lokalnej. Mają oni silnie rozwinięte uczucie tego, co nazwałbym „realnym optymizmem”. Spotkałem się z tym i u dr Szuperskiego, kierownika Ośrodka Zdrowia w Suchej, który narzeka na transport samochodowy chorych — ale uważa, że dostanie ostatecznie ambulans „dla swych pacjentów”. Spotkałem się z nim i u dr Boguckiego, kiedy mi przedstawiał konieczność rozbudowy oddziału położniczego w kierowanym przez siebie szpitalu. Ludzie ci widzą bowiem, że w siedem lat nadrobiono wiekowe zaniedbania — ufają więc, że nadchodzące lata naprawią zupełnie istniejące jeszcze braki.

ŁOŻYSKO ZOSTAŁO Z POWAŻANIEM

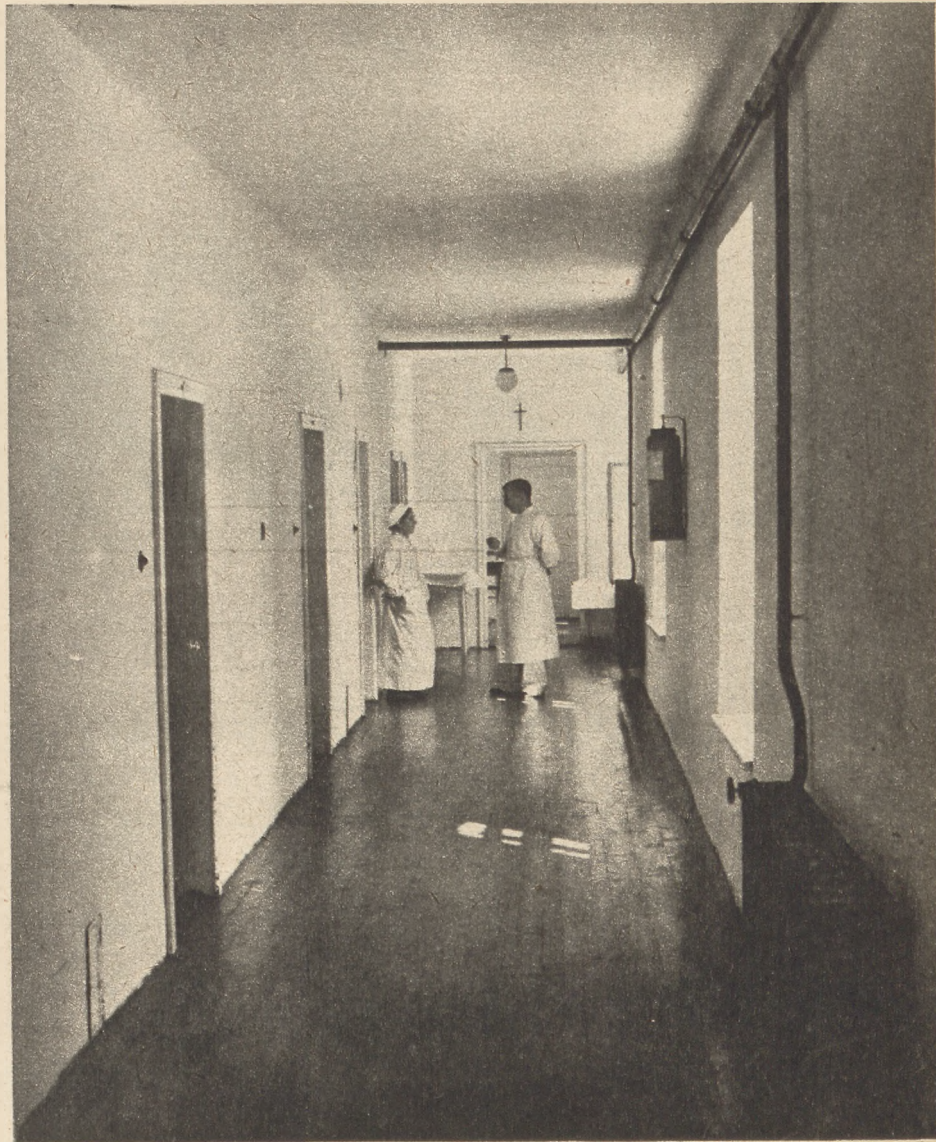
Pewnej nocy zajeżdża prywatny mąż. Przywozi list od akuszerki. Położne przyzwyczały się już do tego, że żądam dokładnej informacji, do czego wzywa ją. Muszę wiedzieć, co ze sobą zabrała. Bo w razie zabrania nieodpowiednich instrumentów ryzykuje się 4 godziny czasu — czekanie na posłańca lub, co gorsza, wracanie po rzeczy.

A z porodem różnie bywa. Za 4 godziny będą narzędzia — ale za to już nie będzie rodzicęj.

Więc list jest.

„Wielmożna Pani — oczywiście jest napisane, żeby nie wątpić o dobrym wychowaniu położnej — i dalej: płut się urodził, łożysko zostało z poważaniem”.

Więc jedziemy z prywatnym mężem



...oddział zakaźny mieści się w budynku dawnego więzienia, odpowiednio przerebionym. Państwo dało leki i ludzi, pieniądze i kosztowny sprzęt, aby podnieść zdrowotność wsi polskiej, nekanej od wieków przez niezwalczane epidemie.

do wyjęcia łożyska po porodzie. Większość narzędzi została w domu, bo zabieg wykonuje się ręką.

„A dziecko żyje?” — pytam męża po drodze. — „Jakie dziecko?” — odpowiada mąż. „Przecież to poronienie w trzecim miesiącu”. „No, to zawrócić konie, musimy zabrać rzeczy do skrobanki”.

I tak tracimy półtorej godziny. A list otrzymałam jak się należy. Było i Wielmożna Pani, i z poważaniem — wszystko, co potrzeba. Brakowało tylko jednej małej informacji: poród czy poronienie.

Było to koło drugiej po południu dnia 4 września 1949 roku. W szpitalu w Makowie przysłała wtedy na swój pierwszy w życiu dyżur Adela Wojnar — prosto ze szkoły położnych w Przemyślu. Niedziela zapowiadała się spokojnie.

W tym samym czasie, kiedy Adela Wojnar upała na swych kruczych włosach biały czeppek z czerwoną wstążką, w oddalonej o 16 km wsi Skawica rozgrywała się w chłopskiej chacie wielka tragedia. Jadwiga S. (tajemnica lekarska nie pozwala na publikowanie pełnego nazwiska pacjentów; przestrzegając tego będę w tym reportażu — tak jak czyniła to dr Karasiówna w swym pamiętniku — L. W.) rodziła od rana. Czy był ktoś przy tym porodzie, czy też nie — tego się nigdy nie udało ustalić. W każdym razie płód miał poprzeczne położenie. Rodząca zaklinała obecnych: „Wieście mnie do szpitala — nie będę czekała, aż mi buchnie!” Ułożono ją na wozie, który co koń wyskoczy popędził do Makowa — nareszcie mamy szpital blisko, co by to było, gdyby trzeba ją było wieźć do Wadowic! W drodze, na podskakującym na wybojach wozie, nastąpiło pęknięcie macicy. Straszliwie blada zajechała Jadwiga S. przed szpitalem. Po kwadransie była już na stole operacyjnym. Dr Bogucki otworzył jej jamę brzuszną, wydobywając martwy płód. Teraz była do powzięcia decyzja: albo — jak to się zwykle praktykuje — usunąć jej macicę, albo też — pozostać. Pierwsza ewentualność wykluczała na zawsze posiadanie potomstwa przez tę młodą kobietę. Macicę pozostawiono. Duże dawki penicyliny. Po 13 dniach Jadwiga S. wróciła do domu. Po roku zjawiała się znowu w Makowie na oddziale położniczym. Tym razem położna Adela Wojnar nie miała takich emocji, jak wtedy — na swym pierwszym dyżurze. Matka i dziecko żyją.

Wysoko w górskich wsiach rozrzucone są obecnie izby porodowe, jak w samej Suchej. Lekarz jest na miejscu — a przy komplikacjach wysyła się położnicę do szpitala w Makowie.

DO WYSOKOŚCI 5 ZŁ

Dr Karasiówna opisuje wstrząsający wypadek śmierci dziecka chorego na dyfteryt, którego rodzice nie kupili szczepionki.

„A dziecko półtoraroczne. To jedno mają. 10 lat po ślubie dzieci nie było, wreszcie doczekali się. Nie wiedzą, co by temu dziecku dali, tak je lubią. Ale za 20 zł lekarstwa nie kupią. A jak nie pomoże i dziecko i tak umrze? Apteka pieniędzy nie zwróci. Do szpitala też nie pojedą, żeby doktorzy dziecku rurkę do krtani założyli. To by jeszcze więcej kosztowało. „Jak Pan Bóg da, to dziecko żyło będzie — a jak nie da, to umrze”.

I tak życie i śmierć od Pana Boga zależą. Po co się doktor w to wtrąca i jeszcze płacić sobie każe.

Na czwarty dzień sprawili dziecku piękny pogrzeb, który ich dużo kosztował. Przecie to jedyne dziecko. Drugiego może mieć nie będą.

Pieniądzy na leczenie dziecka chłop nie wyda. Do wysokości 5 zł jeszcze się znajduje, więcej nie. Gdy koszty większe, Pan Bóg leczy. I nawet nic za to nie bierze.

Szczepienie przeciwdyfterytowe dzieci jest teraz obowiązkowe i bezpłatne. Jest to szczepienie zapobiegawcze. Gdyby jednak jakieś dziecko nie przeszło tego szczepienia, istnieją surowice, które zwalczają już samą chorobę.

Ampułki z tą surowicą widziałem na półce podręcznej apteki szpitala w Makowie Podhalańskim. Stały tam też flaszki, stoiki i tubki zawierające: cholerynę, penicylinę, plazmę, bizmut, antistinę, streptomycynę. Chorzy w szpitalu otrzymują te leki darmo — jeżeli są ubezpieczeni lub małorolni. Zamożniejsi chłopcy płacą za dniówkę niskie stawki.

W szpitalu w Makowie leki stoją nie tylko na półkach. Szpital ma dwie lodownie elektryczne. Jedna jest gospodarcza, na mięso i nabiał, druga — mieści delikatne specyfiki. Dr Bogucki otwiera apteczną lodownię i wydobywa mały słoik z jakimś dziwnym preparatem. Tłumaczy: to jest owodnia. Jest

Malama

DLA BIAŁYCH: URAN I ZŁOTO

DLA CZARNYCH: NĘDZA I TERROR

Napisał: GRZEGORZ JASZUŃSKI

Zdjęcia: Obsługa własna „Świata“

WKOŃCU września br. kopalnia firmy West Rand Consolidated koło Krugersdorp na zachód od Johannesburga przystąpiła do wydobywania rudy uranu — podstawowego surowca przy produkcji broni atomowej. Szczegóły trzymane są w tajemnicy. Wiadomo jednak, że kopalnia ta wydatkowała w ciągu ostatnich 3 miesięcy ponad 300.000 funtów na uruchomienie wydobycia rudy uranu. Wiadomo, że jeszcze 12 innych kopalni złota w Unii Południowo-Afrykańskiej przystąpiło do wydobywania rudy uranowej jako produktu ubocznego. I wiadomo, że jedynym odbiorcą rudy uranowej będą Stany Zjednoczone. W tej chwili pierwszy transport z kopalni West Rand Consolidated prawdopodobnie już wyrusza przez Atlantyk do amerykańskich fabryk bomb atomowych.

Ruda uranowa jest produktem ubocznym przy wydobyciu złota. A złoto jest największym bogactwem Unii Południowo-Afrykańskiej. Wartość rocznej produkcji złota w kopalniach południowo-afrykańskich wynosi ponad 400 milionów dolarów. Produkcja ta przekracza 50% wydobycia w świecie kapitalistycznym. Przed drugą wojną światową eksport złota pokrywał trzy czwarte importu Unii Południowo-Afrykańskiej. Obecnie bankierzy amerykańscy sztucznie obniżają cenę złota, aby równie sztucznie podnieść wartość dolara, lecz wywóz złota w dalszym ciągu pokrywa prawie połowę kosztów importu do Unii Południowo-Afrykańskiej. Właściciele kopalni złota należą nadal do najbogatszych ludzi na kuli ziemskiej.

Nie uran i nie złoto, nie diamenty (ponad 70% produkcji światowej!) i nie węgiel są jednak największym bogactwem Unii Południowo-Afrykańskiej. Jeśli spytamy właścicieli kopalni, fabryk i plantacji w Unii, na czym polega ich bogactwo, i jeśli oczywiście zechcą oni odpowiedzieć uczciwie na nasze pytanie — to stwier-

dzą, że największym źródłem ich bogactw jest tania murzyńska siła robocza. Bez taniej pracy Murzynów biali właściciele kopalni nie mogliby wdzierać się coraz bardziej w głąb ziemi, bez wysiłku Murzynów nie byłoby luksusowych brylantów, bez Murzynów stłoczonych w „rezerwatach“ nie byłoby na białych plantacjach owiec i wełny.

GDY RZĄDZA RASIŚCI

Wiedzą o tym dobrze biali panowie Unii Południowo-Afrykańskiej i dbają o to, by właściwy system „demokracji zachodniej“ zapewnić im nadal możliwość eksploatacji ludności murzyńskiej. System ten jest wcielaniem wszystkich pomysłów rasistów hitlerowskich — o gettach i rezerwatach, o segregacji ludności i o „czystości“ rasowej. A jednocześnie system ten realizowany jest „w majestacie prawa“ (kapitalistycznego), cieszy się błogosławieństwem kościołów i opieką kapitalistów USA, którzy chętnie wypierają na terenie Unii Południowo-Afrykańskiej — jak i gdzie indziej — swych wspólników z City Londyńskiej.

Nie trudno się domyślić, jak się w tym systemie prowadzi rdzennej ludności. Oto kilka faktów.

88% ziemi w Unii Południowo-Afrykańskiej należy do białych, a tylko 12% ziemi — i to najgorszej — przydzielono czarnym rezerwatom. Przy ludności składającej się z 8 milionów Murzynów i 2 milionów białych (nie licząc około 1 miliona Mulatów i 300.000 Hindusów) oznacza to, że zagęszczenie w czarnych rezerwatach jest 30-krotnie większe, niż na terenach zamieszkałych przez białych. Rzecz jasna, że Murzyni nie mogą się utrzymać, i stąd — stały dopływ czarnych niewolników dla kopalni, fabryk i plantacji białych panów.

Jak podaje angielski „New Statesman and Nation“, śmiertelność niemowląt w Unii wynosiła 42,53 na 1.000 dla białych, 90,06 dla Hindusów i 162,72 dla Mulatów; nie prowadzono takiej statystyki dla Murzynów (kogoż to obchodzi, ile umiera Murzyniłek?), lecz urzędnicy służby zdrowia zgodnie ustalają, że wśród tubylców śmiertelność niemowląt nigdy nie spadała poniżej 150 na 1.000, a na niektórych terenach dochodziła do 600 i 700 na 1.000!...

Na straży tego systemu głodu i śmierci stoją dziesiątki i setki ustaw — ustawy o ziemi (czyli o zabiorze ziemi), ustawy o pracy (czyli o niewolnictwie), ustawy o „terenach grupowych“ (czyli o gettach i rezerwatach), ustawy o „niemoralności“ (czyli o mieszanym małżeństwach), no i oczywiście — ustawy „o walce z komunizmem“.

WYBORY A LA MALAN

Imperialiści i rasiści południowo-afrykańscy są bowiem „demokratami“ i wraz ze swymi przyjaciółmi zza Oceanu — nabywcami ich złota i rudy uranowej — „bronią cywilizacji“ przed „niebezpieczeństwem komunizmu“... Imperialiści i rasiści południowo-afrykańscy są zwolennikami „wolnych“ wyborów i twierdzą, że ich rząd — rząd pastora Malana — właśnie z takich wyborów pochodzi. A ponieważ Malan doprowadził „demokrację“ południowo-afrykańską do niejkiej „perfekcji“, warto przyjrzeć się, jak jego Partia Nationalistyczna zdobyła „większość“.

Ostatnie wybory w Unii Południowo-Afrykańskiej odbyły się w 1948 roku. Podczas tych wyborów Malan

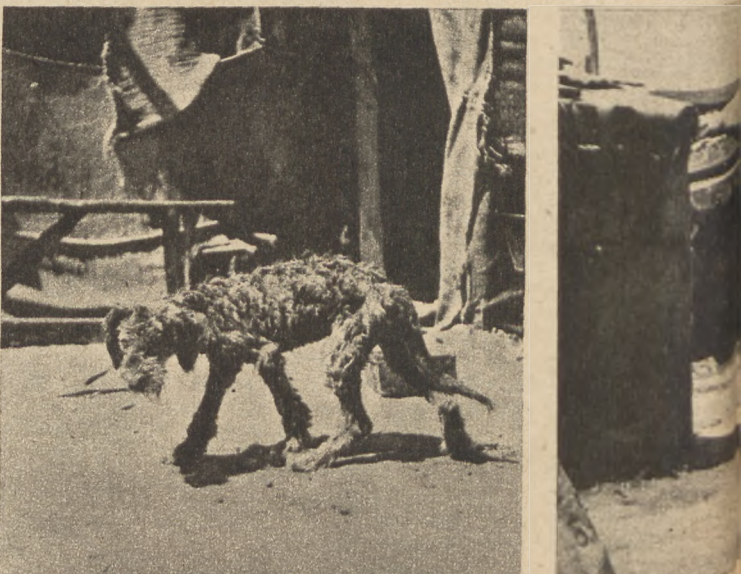
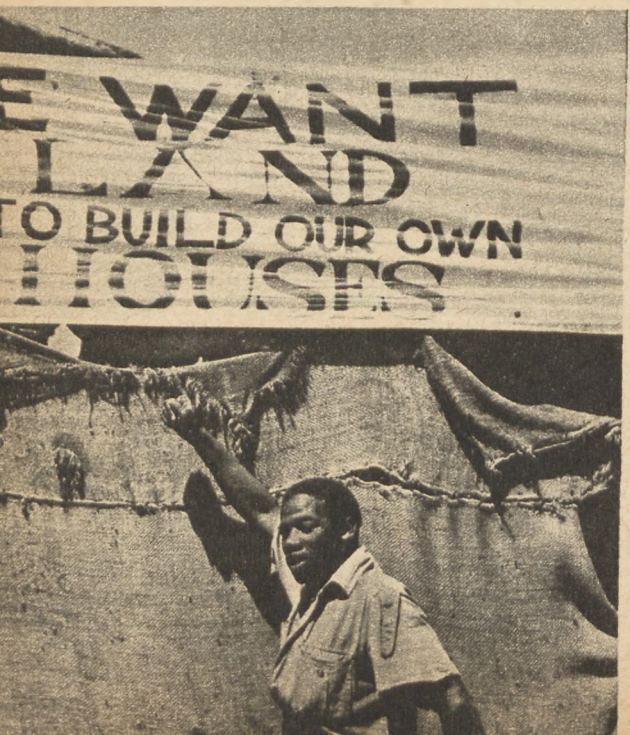


Domy władców Unii Połud.-Afrykańskiej urządzone są z wyszukanymi placami tenisowymi, na których grają białe panie, podczas gdy Murzyni...

Dziecko czarnej niewolnicy nie ma przedszkola, w czasie pracy matki małe Murzyniátko śpi na jej spracowanym grzbiecie.



„Chcemy ziemi dla budowy własnych domów“, brzmi napis na ścianach wielu murzyńskich „mieszkań“.



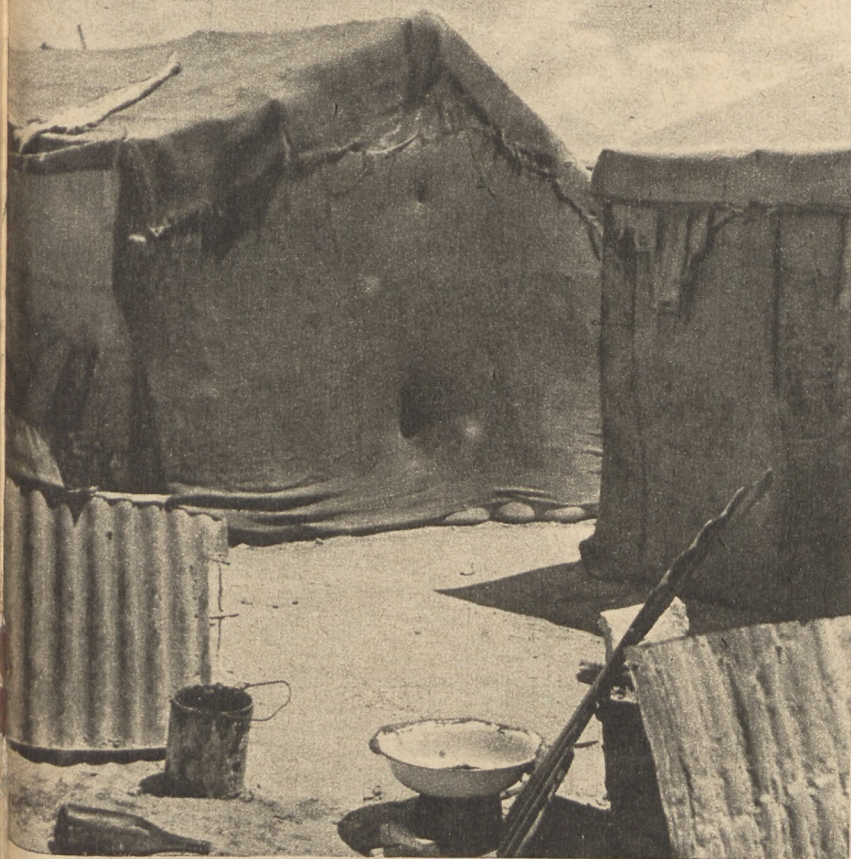
Psom murzyńskim nie lepiej powodzi się niż ich panom. Są wygłodniałe i zmizerowane.

Wcale nie trudno ni rodzice tego



Wysokim komfortem. Obok domów znajdują się zwykle To też jest Johannesburg, tylko że dla Murzynów. Na przedmieściu miasta gnieźdzą się w namiotach i lepiankach rodziny czarnych. Śmiertelność niemowląt jest tu taka, że aby się nie kompromitować, władze nie ujmują jej statystycznie.

Dla kuchni nie ma miejsca w tych budach. Aby nie spłonęły, kuchnię dla kilku rodzin urządzono na powietrzu: palenisko i kocioł z miski do mycia. Oto scena z ulicy w Johannesburgu. Obok chodnika elegancka limuzyna białego, a na chodniku śpi młody Murzyn. Jest to często jedyny sposób odpoczynku po ciężkiej pracy w kopalni złota.



Wbudować sobie taki dom, ale był to jedyny, na jaki mogli się zdobyć biedny i niekompatybilny malca, zatrudnieni w kopalniach złota, uranu i diamentów.





HOWARD FAST

(2)

Bunt GLADIATORÓW

Tłumaczyła: M. MICHAŁOWSKA

Ilustrował: St. SAMBORSKI

Wszystko zależało teraz od tego, czy go usłuchają. Przez chwilę panowała grobowa cisza. Lecz tamci zaraz ruszyli ku drzwiom i od tego momentu mieli go słuchać — stał się ich przywódcą. Kochali go. Kriksus wiedział, że wszyscy zgina, lecz było mu wszystko jedno, a Żyd Dawid, który przez całe życie nie wiedział, co to miłość czy nienawiść, poczuł nagle gorącą falę miłości, wzbierającą w jego zimnym sercu dla tego dziwnego, łagodnego, brzydkiego Traka o złamanym nosie i zmiętej twarzy.

— Podejdźcie bliżej — zawołał Spartakus.

Wszystko stało się tak szybko, że żołnierze stojący za drzwiami nawet się nie spostrzegli. Gladiatorzy i niewolnicy, którzy przybiegli z kuchni — trzydziestu mężczyzn i kobiety — tłoczyli się dokoła niego, a Warynia patrzyła nań z lękiem i nadzieją w oczach, starała się podejść jak mogła najbliżej. Rozstąpili się przed nią, a ona stanęła przy jego boku. Spartakus objął ją ramieniem, przycisnął i pomyślał: „Jestem wolny. Ani ojciec, ani dziad mój nie zaznali chwili wolności, lecz teraz, stoję tutaj jako wolny człowiek”. Myśl ta zaszumiała w głowie, jak młode wino i na chwilę świat zakreślił mu się w oczach.

Nagle ogarnął go lęk. Wolność, nagła wolność nie jest rzeczą błahą, szczególnie gdy się było niewolnikiem przez całe życie, przez każdą chwilę swego istnienia, i gdy ojciec i dziad też byli niewolnikami. Spartakus ugiął się jeszcze pod ciężarem wielkiej decyzji, powziętej zaledwie kilka minut temu. Wiedział, że na obranej drodze śmierć czyha na każdym kroku. A prócz tego dźwigał na sobie odpowiedzialność za tych wszystkich ludzi zgromadzonych dokoła niego. Wiedział, że oni sami pełni są wątpliwości. Zabójstwo należało do ich zawodu, ale tym razem podnieśli ręce na swoich panów, a niewolnik, który zamierza się na swojego właściciela, pełen jest lęku i wątpliwości. Patrzyli wszyscy na Spartakusa, nie spuszczała zeń wzroku. Dotychczas Spartakus był dla nich łagodnym trackim górnikiem z kopalni złota, który wiedział co ich dręczy i który otaczał ich miłością, a teraz, pełni przesądów — jak przecież wszyscy ludzie tamtych czasów — przeświadczeni byli, że jakiś przedziwny bóg, o sercu pełnym litości, natchnął Spartakusa i dodał mu sił. Wierzyli, że dzięki opiece tego boga Spartakus widzi ich przyszłość, że poprowadzi ich, że znajdzie wyjście nawet tam, gdzie wyjścia nie ma. Wszystko to Spartakus czytał w ich oczach.

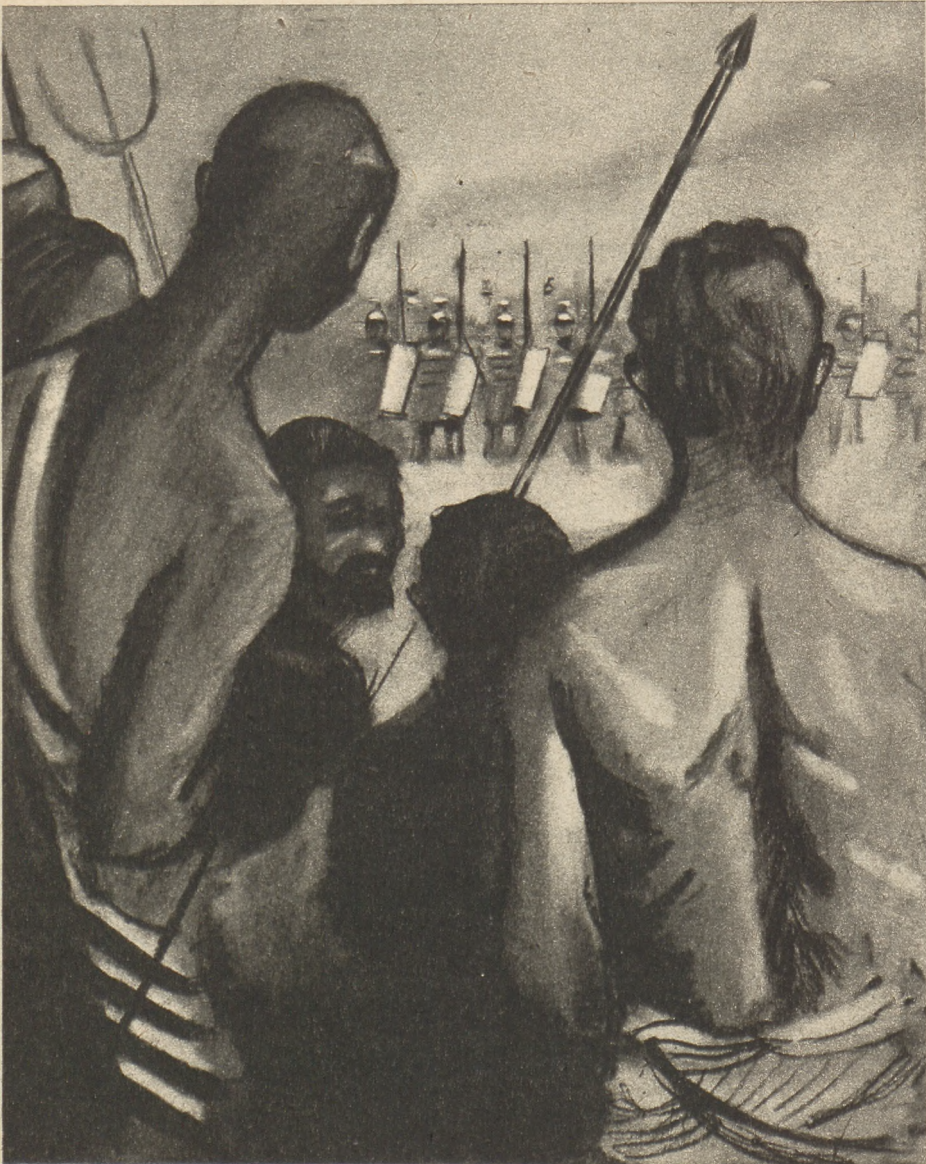
— Czy pójdziecie ze mną? — spytał ich, gdy tłoczyli się wokół niego. — Powiadam wam, że nigdy już nie będę gladiatorem. Raczej zginę. Czy pójdziecie ze mną?

Oczy niektórych wypełniły się łzami i skupiali się coraz ciśniej dokoła niego. Jedni bali się bardziej, inni mniej, lecz w przedziwny jakiś sposób czuli, że od Spartakusa promienieje wielka chwała i spływa na każdego z nich.

— Musimy teraz być towarzyszami — zawołał. — Musimy być jako jeden mąż. Wiem, że w mojej ojczyźnie żołnierze szli do walki z własnej, nieprzymuszonej woli, nie tak jak Rzymianie. A jeśli który nie chciał się bić, po prostu odchodził na bok i nikt go nie pytał dlaczego.

— Co czynić? — zapytał ktoś.

— Wyjdziemy stąd i wydamy im walkę i będziemy się bili tak, jak nikt jeszcze nie bił się dotąd. Albowiem jesteśmy najwaleczniejszymi zapaśnikami na świecie. —



Nagle głos jego zagrział dziko i głośno i zapewne usłyszeli go żołnierze stojący na straży.

— Będziemy się bili tak wspaniale, że Rzym nigdy, przenigdy nie zapomni walecznych gladiatorów z Kapui.

Nadchodzi taka chwila w życiu człowieka, że musi on czynić to, co mu dyktuje wewnętrzny nakaz.

Warynia wiedziała, że chwila taka nadeszła. Poczuła wielką dumę i wielką radość, albowiem wiedziała, że jej Spartakus jest jedyny na świecie, że nie ma takiego drugiego. Ona знаła Spartakusa, ale niebawem cały świat miał go poznać. Czuła głębokim kobiecym instynktem, że oto rozpoczyna się rzecz wielka, nie kończąca się, i że jej Spartakus jest łagodny i czysty jak nikt inny na całym świecie.

— Najpierw na żołnierzy — powiedział Spartakus.

— Jest nas pięciu na jednego. Być może, że uciekną.

— Nie uciekną — odpowiedział gwałtownie. — Pamiętajcie, jacy są żołnierze, pamiętajcie, że żołnierze nigdy nie uciekają. Albo oni nas zabiją, albo my ich, a jak my ich zabijemy, to zjawiają się inni. Są ich miliony.

Gdy spojrzeli nań z przerażeniem, dodał: — Lecz są też miliony niewolników.

Szybko wzięli się do dzieła. Zabrali noże martwym dozorcą, a z kuchni wzięli wszystko, co mogłoby się nadać na broń. Noże i topory, i szpikulce, i rożny, i moździerz, a zwłaszcza szczególnie moździerz, których używano do tłuczenia ziarna na kaszę, a których było co najmniej dwadzieścia, i tłuczki od moździerzy, ciężkie, drewniane tłuczki zakończone wielką, twardą kulą. Zabrali też polana, a kto nie mógł znaleźć nic lepszego, ten wziął wielką kość. Zabrali pokrywy od kotłów, by użyć ich jako tarczy. Zaopatrzyli się w zaимпровizowaną broń i wraz z kobietami wyważyli olbrzymie, drewniane wrota i wyszli na podwórze, gotowi do walki.

Wszystko to zrobili bardzo szybko, lecz nie dość szybko, by zaskoczyć tamtych. Dwaj strażnicy zwołali żołnierzy jedzących śniadanie w pobliskim gaju. Zdążyli nałożyć broń i ustawić się dziesiątkami w czterech drużynach i teraz stali w bojowym szyku na drugim brzegu strumienia. A było ich czterdziestu szeregowych, dwóch oficerów i dwunastu dozorców. Wszyscy zbrojni w miecze, tarcze i włócznie. Pięćdziesięciu czterech ciężko uzbrojonych żołnierzy stanęło naprzeciw dwustu nagich i prawie bezbronnych gladiatorów. A żołnierze byli przecież rzymskimi żołnierzami, którym nikt jeszcze na świecie nie oparł się w boju.

Podnieśli włócznie i ruszyli naprzód w dwuszeręgu, jeden zastęp za drugim. Rozkazy rzucane przez oficerów brzmiały jasno i wyraźnie, żołnierze szli naprzód czterema drużynami, równym krokiem, sprawnie, zwycięsko, by zmieść tę odrobinę pyłu ludzkiego, która ośmieliła się zastąpić im drogę. Unosili wysoko wspaniałe obute stopy, a woda strumieniami rozpryskiwała się pod uderzeniami ich nóg. Gdy wspięli się na brzeg, trawa i polne kwiaty chyliły się na boki.

Ze wszystkich stron zbiegali się niewolnicy, by przyjrzeć się temu niezwykle widowisku. Żołnierze stanęli, zatrzymali się, wzniesli straszliwe włócznie, których żelazne ostrza rozbłysły w słońcu, i oto stali przez sekundę jako symbol potęgi Rzymu, przed którym niewolnicy powinni byli się teraz rozproszyć jak proch pod uderzeniem wichru.

Lecz w tej chwili, gdy Spartakus stał się dowódcą, potęgą Rzymu miała zadrzeć w posadach. Nie wiadomo dokładnie, czemu jeden człowiek staje się wodzem nad innymi. Prawdziwa umiejętność dowodzenia jest rzeczą rzadką i trudną. Zwłaszcza gdy nie ma się za sobą siły ni sławy. Każdy może wydawać rozkazy, lecz wydawać je tak, by inni słuchali, to sprawa szczególnej właściwości człowieka. Spartakus posiadał tę właściwość. Rozkazał gladiatorom, by się ustawili w szyku, a oni usłuchali go. Rozkazał, by wielkim kręgiem otoczyli rzymskich żołnierzy, a oni usłuchali go znowu. Teraz cztery drużyny Rzymian zaczęły wolny krok. Ogarnęła je niepokojna. Zatrzymały się. Nikt przecież na świecie nie równał się gladiatorom jeśli idzie o szybkość ruchów. Od tego zależało na arenie ich życie. Ponadto gladiatorzy byli nadzy, Rzymianie zaś przytłoczeni ciężarem mieczów, zbroi, hełmów i tarcz. Gladiatorszy ruszyli biegiem, okrążyli Rzymian, którzy borykali się z ciężkimi włóczniami, bezużytecznymi na małą odległość. Rzymska włócznia służyła tylko jeden jedyny raz. Można ją było rzucić, a następnie trzeba było szybko ruszyć naprzód i uderzyć na wroga mieczem. Lecz w którą stronę mieli teraz mierzyć?

W tej chwili Spartakus błyskawicznie uświadomił sobie taktykę, która miała się stać podstawą wszystkich jego zwycięstw. Uświadomił sobie nagle i z niezwykłą jasnością, na czym polega przewaga armii rzymskiej, skąd pochodzi legenda o niezwyciężoności legionów. Dlaczego przegrywały wszystkie wojska, które beznadziejnie rzucały się na ostrza rzymskich włóczni, by następnie dostać się pod ostre rzymskie miecze i topory. Teraz cała potęga Rzymu stała się nagle bezsilna wobec wrzeszczącej, przeklinającej, wyzywającej masy nagich gladiatorów.

— Kamienie! — krzyknął Spartakus. — Kamienie będą naszą bronią! — Szybki, zwinny bieg obok gladiatorów i krzyzał: — Kamienie! Rzucajcie kamieniami!

Pod gradem kamieni legli żołnierze rzymscy. Kamienie sypały się na nich ze wszystkich stron. Do walki przyłączyły się kobiety. I niewolnicy z pobliskich pól i ogrodów. Żołnierze skupili się pod osłoną swych tarcz. Gladiatorszy doskakiwali do nich, uderzali i znowu cofali się. Jedna drużyna rzuciła włóczniami w nacierający tłum. Któryś gladiator padł zabity, lecz reszta rzuciła się na zbrojnych już tylko w miecze żołnierzy i mordowała ich niemal gołymi rękami. Żołnierze wciąż się bronili. Dwie drużyny ustawiły się kołem, lecz zaraz posypał się na nie nowy grad kamieni. Gladiatorszy dopadli ich jak stado wilków. Żołnierze polegli co do jednego. Dziesiątka żołnierzy próbowała wyrąbać sobie drogę mieczami, lecz było ich zbyt mało na taki manewr. Jeden po drugim padali i ginęli, podobnie jak ginęli dozorczy. Dwaj z nich na klęczkach błagali o łaskę, kobiety jednak rzuciły się na nich i ukamienowały.

Ta niezwykle, gwałtowna walka rozpoczęła się pod jadalnią, przeniosła się na cały teren szkoły i zakończyła na drodze do Kapui. Tu legli ostatni żołnierze. Wszędzie leżały zwłoki zmasakrowanych ludzi, pięćdziesięciu czterech poległych Rzymian, żołnierzy, dozorców i wielu gladiatorów.

Był to zaledwie początek, zwycięski, krwawy początek. Spartakus stał na drodze i z daleka patrzył na mury Kapui, miasta, którego złote kopuły błyszczały w promieniach porannego słońca. Słyszał dźwięk bębnow dochodzący z koszar garnizonu miejskiego. Wiedział, że nie będzie spoczynku, albowiem wypadki toczą się niepowstrzymanym biegiem i wieść o powstaniu doszła już do miasta. A w Kapui była niezliczona ilość wojska.

Dalszy ciąg w następnym numerze

nasz fotokorespondenci donoszą

MAMY WRESZCIE PRAWA WYBORCZE



Wzorowy żołnierz, starszy szeregowy Józef Pałka.

Żołnierze we wszystkich zakątkach kraju wyrażają wdzięczność władzy ludowej za otrzymane od niej prawa wyborcze. Żołnierz teraz stał się pełnowartościowym obywatelem i na okres służby nie jest już wyłączony z normalnego życia społecznego. Jeden z przodujących podoficerów, plutonowy Dudycz, powiedział: „Do urny wyborczej przystąpię z dobrymi wynikami w szkoleniu i służbie. To będzie moja mała cegiełka w umocnieniu Frontu Narodowego, to będzie mój wkład w walkę z wrogami, którzy chcieliby zakłócić budownictwo naszej szczęśliwej Ojczyzny”.

Ze słów tych bije szczerokość. Żołnierze, korzystając z pełni z praw nadanych im w Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, wiedzą, że najlepiej wyraża swój patriotyzm, jeśli nieustannie podnosić będą zdolność bojową, obronność całego kraju. Wzorowa służba, surowe prze-

strzeganie regulaminów, całkowita realizacja zadań postawionych przed armią przez Marszałka Rokossowskiego, jest taką samą sprawą honoru obywatelskiego, jak praca.

W licznych jednostkach wojskowych możemy znaleźć niezliczone wprost przykłady świadomego, prawdziwie patriotycznego stosunku do służby. Jednym z takich przykładów jest sukces szkolny dowódcy plutonu, chorążego Sajewicza, który uzyskał ocenę bardzo dobrą za miniony okres letni. Jest to dowód, że żołnierze tego plutonu są w pełni świadomi swych obowiązków.

Podobnych przykładów można by naliczyć mnóstwo. Po ogłoszeniu Programu Wyborczego Frontu Narodowego osiągnięcia w szkoleniu wzrastają we wszystkich jednostkach naszego wojska.

Leonard Eliński,
DOW Kraków



Plutonowy Dudycz chętnie dyskutuje z żołnierzami w czasie wolnym od zajęć.



Chorąży Sajewicz czyta w świetlicy Program Wyborczy.

OD KUŹNI DO FABRYKI

Sułkowice to stara bardzo siedziba ludzka w dolinie rzeki Skawinki. Sławna już była w wieku XV z tego, że mieszkali tu kowale z Węgier, którzy na całą Polskę wyrabiali podkowy, gwoździe, topory, młoty, kosy i widły, słowem wszystko, co w ówczesnym gospodarstwie było potrzebne.

Początkowo pracowali jako chatupnicy; w dolinie Skawinki do dziś stoi niejedna jeszcze kuźnia, nakryta dranicami, pocierająca ze starości i od dymu. Pamięta niejedną też wojnę, a może i to chłopskie przeciw panom powstanie w roku 1846 kiedy to kowale po wsiach na sztorc osadzali kosy...

Ziemia nie jest tu urodzajna, na polach niesłoneczne żytko, owies, ziemniaki i dlatego nawet kowalstwo nie ratowało mieszkańców Sułkowic od masowej emigracji za chlebem. Ci, co pozostali, zrozumieli w końcu, że źle się im działo, ponieważ walczyli o życie przed wojną spróbowali

zrzeszyć się razem z czeladzią. Wybudowali halę, zakupili wspólne maszyny, lecz wojna nie sprzyjała dalszemu rozwojowi tak nowej w naszych warunkach przedwojennych placówki. Dopiero w Polsce Ludowej spółdzielcze kuźnice sułkowskie pod nazwą „Spółnoty” rozwijały się z roku na rok. Wzniesiono nową halę, która jest już na ukończeniu. W starej pozostały tylko hałaśliwe, ciężkie młoty i żar palenisk koksowych. W nowej ustawia się obrabiarki, tokarki i szlifiernie.

Nowa hala fabryczna służyć będzie nie tylko produkcji. Na dole posiada przestronne urządzenia kąpielowe, na górze — świetlicę łatwo mogącą pomieścić kilkaset osób. Rzędy nowiutkich krzeseł, głęboka estrada poza rozsuniętymi fałdami kurtyny, wygodnie pomyślane ubieralnie dla artystów, szatnia i duża palarnia przy wejściu aż proszą się o jak najszybsze zorganizowanie widowisk. Niewątpliwie już wkrótce przyjdą tu po żywe słowo, po muzykę i pieśń



Wnętrze nowej hali kuźni spółdzielczych „Spółnota” w Sułkowicach. Przy pomocy nowoczesnych tokarek, obrabiarek i szlifierek produkuje się tu wagi dziesiętne.

dzielni kowale sułkowscy, ich rodziny oraz mieszkańcy sąsiednich wiosek.

I w „starym” budynku mieści się coś nowego. W tej jego części, która najdalej jest położona od ciężkich młotów i zgrzytu maszyn, dwa niewielkie pokoje zawieszono kolorowymi obrazkami. Rozstawiono tu jednocześnie małe łóżeczka. Codziennie zajmują w nich swoje miejsca dzieci oddane pod opiekę wychowawczynie na czas trwania pracy. Niektóre z nich, nim po nakarmieniu zasną, długo patrzą zaciekawionymi oczami na złote rybki, pływające w akwarium. Rybek takich nie ma w rzece Skawince...

Mam przed oczyma kilka wieków historii. I ten olbrzymi skok postępu — ośmiu zaledwie lat ostatnich! Poczerpniały ze starości, zapadłe w ziemię dawne kuźnie drewniane spełniły już swą rolę, tylko dwie, trzy spośród nich po-

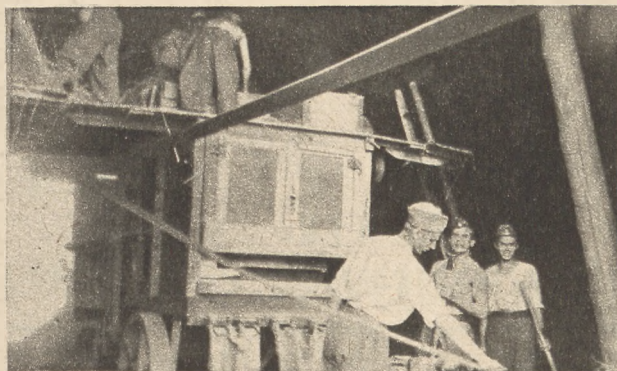
zostaną, aby zabezpieczone umiejętną dłonią konserwatorów mówić młodym pokoleniom polskim o tym, jak pracowali kowale przed dwustu czy pięciuset laty.

Karol Koźmiński,
Skolimów



Takich złotych rybek nie ma w rzece Skawince.

WOJSKO POMAGA ROLNIKOM



Na zdjęciu: żołnierze przy młockarni.

Robotnicy rolni PGR-u Wyry obawiali się, że nie odstawia na czas zboża dla Państwa, ponieważ opóźniły się u nich omloty.

W tej trudnej sytuacji przyszedł im z pomocą pododdział oficera Przemyskiego z pobliskiej jednostki wojskowej.

Dwudziestu żołnierzy pracowało przez dwa dni po 5 godzin dziennie. Omlócili oni 52 kwintale pszenicy, zdobywając sobie uznanie i szczerą wdzięczność kierownictwa oraz pracowników PGR-u.

st. szer. Jerzy Sowa,
Bytom

fol.: st. szer. T. Skrzewski

NOWA LINIA KOLEJOWA



W Górowie Iławskim (woj. olsztyńskie) oddano do eksploatacji nowoobudowaną odcinek linii kolejowej, łączący miasto Lidzbark z Górowem — siedzibą powiatu.

Nowootwarta linia łączy więc miasto powiatowe z Olsztynem i innymi miastami województwa, a tym samym ma ona duże znaczenie gospodarcze.

Przecięcia wstąpi na uroczystym otwarciu linii dokonał dyrektor Okręgu Kolei Państwowych Olsztyn, Mieczysław Pietrzyk. Następnie wręczył on nagrody pieniężne dwudziestu trzem robotnikom, rzemieślnikom i kolejarzom, którzy szczególnie wyróżnili się rzetelną i sumienną pracą przy budowie nowej linii kolejowej.

Na zdjęciu: pierwszy pociąg wjeżdża na stację Górowo Iławskie.

Tomasz Szymaszek,
Olsztyn

FOTOGRAFIA NA CODZIEN Z DZIEJÓW FOTOGRAFII



Chopin w dagerotypu Bissona

Dzisiejsza postać, sprawność i wszechstronność aparat fotograficzny zawdzięcza niezwyklej postępowi techniki, chemii i optyki. Za oficjalną datę narodzin fotografii uznano rok 1839, gdy Francuz Daguerre opatentował swój wynalazek, umożliwiając dokonywanie zdjęć. Trudno jednak ustalić właściwą datę powstania fotografii, gdyż składało się na to wiele doświadczeń i wynalazków.

Prototyp aparatu fotograficznego — to „camera obscura”, pudło z małym otworkiem, przez który padające promienie światła rysowały na przeciwniejszej ścianie obraz. Obraz ten nie był jeszcze fotografią, gdyż nie umiano go utrwalic. Znacznie później doczekała się „camera obscura” wprawienia jej szklanego oka w postaci soczewki skupiającej i służyła w tej postaci jako zabawka do oglądania na matówce pomniejszonego obrazu otaczających ją przedmiotów.

Niezależną drogą szły badania chemiczne. Już w r. 1727 prof. Schulze z Halle zaobserwował, iż pewne sole srebrne reagują na działanie światła, lecz odkrycia tego nie umiał jeszcze połączyć z kamerą. W r. 1802 Wedgwood i Davy, przeprowadzając doświadczenia z solami srebrnymi, wpadli wprawdzie na pomysł utworzenia obrazu przy pomocy kamery, lecz obraz ten był słaby i nie umieli go utrwalic na kliszy.

Dopiero w r. 1822 Niepce we Francji zdołał otrzymać pierwsze zdjęcie fotograficzne. W kilka lat później zatknął się on poprzez optyka Chevaliera w Paryżu z malarzem Daguerrem, który prowadził również eksperymenty fotograficzne. Powstała spółka wynalazców, która po wielu doświadczeniach doszła do wywołania rzeźby płyt pokrytych jodem srebra, co pozwoliło 70-krotnie skrócić czas naświetlania. Metoda ta, odkryta przypadkowo przez Daguerre'a w r. 1837, nazwana została daguerrotypia.

Firma Daguerre-Niepce stanęła teraz przed koniecznością zdobycia odpowiedniego kapitału dla eksploatacji swego odkrycia. Pomógł im w tym rząd francuski, który przeznaczał olbrzymie możliwości rozwojowe wynalazku, nabył od niego prawa. Daguerre otrzymał legię honorową i 6.000 fr., Niepce — 4.000 fr. rocznej pensji. Tak więc rząd francuski tanim kosztem stał się właścicielem świetnego interesu.

Rozpoczęto produkcję aparatów i płyt. Koszt kamery wynosił wówczas aż 400 franków (ok. 2.400 zł. przedwojennych...), jedna płyta kosztowała 4 franki. Najświeższy obiektyw miał jasność 1:14, a więc znacznie mniejszą, niż obecnie soczewka najtańszego pudełkowego aparatu fotograficznego. Czas naświetlania wahał się w granicach od 10 do 30 minut... Daguerrotypy nie można było powielać ani wykonać zeń odbitek czy powiększeń.

Mimo wysokich cen, interes się rozwijał, zachęciło to businesmanów amerykańskich i wkrótce wynalazca telegrafu, Morse, na spółkę z dr Draperem założył atelier portretowe na dachu Uniwersytetu w N. Jorku. Mały obrazek kosztował wówczas 5 dolarów. Firma prosperowała doskonale mimo zawzięci malarzy i rysowników, którzy „konkurentów” odsądzała od czci i wiary.

Takie były początki fotografii, która następnie dość szybko, dzięki udośkonaleń chemicznym i optycznym, poczęła się rozwijać. Pozostawała ona jednak nadal wyłączną domeną zawodowych fotografów — do milionowych rzesz fotoamatorów dotarła znacznie później.

Ale o tym następnym razem. Dodajmy jeszcze na zakończenie, iż już w r. 1839, w listopadzie, w oknie redakcji „Kuriera Warszawskiego” wystawiony był daguerrotyp przedstawiający Plac Zamkowy z kolumną Zygmunta.



W niedźnych pomieszczeniach pracowali kiedyś w Sułkowicach kowale-chatupnicy.

NOWY SEZON FILMU AMERYKAŃSKIEGO

DRAMAT ZMARNOWANEGO ŻYCIA

CZYLI HISTORIA WSPÓŁCZESNEGO AMERYKANINA



Tu leży Willy, komiwojażer, przeciętny Amerykanin... Nie doszedł do niczego, skończył samobójstwem, i żona, która męczyła się z nim lata całe, żegna go gorzkimi słowami na jego grobie: „Wybacz Willy, ale mi się nie chce płakać”



Podczas gry w karty, która stanowi jego mizerną rozrywkę, komiwojażer (na zdjęciu na pierwszym planie) marzy: zjawia mu się brat Ben, który „zrobił karierę...” Willy'emu się nie udało...

Niezadowolony z życia, rozgorączkowany, Willy (F. March) chroni się w marzenie. W łazience w hoteliku wyobraża sobie, że jest ze swoją dziewczyną, lat temu 15... Kelner ratuje go od zawrotu głowy.



Sukces sztuki „Śmierć komiwojażera” był niespodzianką dla wszystkich, nawet dla samego autora. Artura Millera, dramatopisarza interesującego się zagadnieniami moralności społecznej i nawet związanego, przez jakiś czas, z grupą postępowych artystów, rozgromioną przez sławny proces „Komisji badania działalności antyamerykańskiej”. „Dramat ten był przede wszystkim potrzebny mnie samemu, by zrobić rachunek sumienia — i nie przypuszczałem, by wielu podzieliło moją opinię” — pisze Miller. Menażer, który przyjął tę sztukę do wystawienia na scenie Broadwayu, przygotował jednocześnie inny utwór, komedię, by w razie fiaska móc natychmiast zmienić repertuar. Tymczasem „Śmierć komiwojażera” od czterech lat nie opuszcza afisza, i teatr wciąż jest pełny.

W Hollywood zrobiono ze sztuki film; wszedł on na ekrany przed paru tygodniami — sukces zapewniony. „Jest to najpoważniejszy film sezonu” — pisze Matthew, jeden z krytyków „serio”.

Cóż jest tematem tej nieprzewidywanej sensacji? Jest to smutna choć patetyczna historia nieudanego życia. Krytyka porównuje „Śmierć komiwojażera” do „Obywatela Kane” Orsona Wellesa. Ale tam widzieliśmy magnata z amerykańskiej plutokracji, któremu na niczym w życiu nie zbywało: miał pałac, godny maharadży, z prywatnym ogrodem zoologicznym, zjeżdżał świat cały, poślubił siostrzenicę prezydenta Stanów Zjednoczonych, skupował dzieła sztuki pięciu kontynentów, umarł w swoim muzeum jako starzec syty rozgłosem i wszelkich dóbr. Jego życie było pozbawione miłości i idei, i w chwili, gdy konał, jedynym dobrym wspomnieniem dla niego była pamiątka z lat dziecińczych — saneczki, którymi bawił się jako chłopiec w domu swojej matki.

Życie tego miliardera było próżne i smutne. — taki jest wniosek filmu — mimo że osiągnął on szczyty kariery. Bohaterem „Śmierci komiwojażera” jest Amerykanin „ubogi” — któremu sukces nie dopisał — to znaczy drobny mieszczanin amerykański, domokrażny handlarz; ten na stare lata widzi, że nie jest już w stanie sprzedawać towaru jak dawniej. Rozważając swoje życie i on dochodzi do wniosku, że je stracił, ale klęskę tę przypisuje „brakowi powodzenia”. Ma przynajmniej wymówkę — Charles Foster Kane jej nie miał.

Do czego doszedł komiwojażer w swoim życiu? Ma on dwóch synów, jeden jest jego pieczęcią — ale okazuje się niedołęgą i durniakiem, pewnie będzie niedorajdą jak ojciec — trzęsł się jego życia są zabawy sportowe i kłótnie z ojcem. Komiwojażer ma jeszcze jedną pociechę: dziewczynę uliczną, do której po kryjomu jeździ od lat, udając pilne interesy. Ale ta też już go nie chce i rozstaje się po bolesnej kłótni; jeszcze jedno wspomnienie znika z życia... Mit sukcesu przesładuje komiwojażera, rozpacz, że mu się w życiu „nie udało”, dreczy go w koszmarnych wizjach — pewnego dnia postanawia „kończyć z sobą” — nikt go nie żałuje... Własna jego żona z ironicznym grymasem na ustach przeprosza go nad grobem, że nie będzie płakała: nie warto...

„Jak wytłumaczyć sukces tego filmu, świetnie zresztą granego przez Fredrica March, jednego z najinteligentniejszych aktorów amerykańskich?” — pyta kronikarz „Time” i odpowiada: „Jest to film o bezwyjściowości, o rozterce, o niepewności dreczącej przeciętnego Amerykanina. To dzieło sztuki, posępne i jednostronne, nie daje żadnej wskazówki, nie wskazuje pomocy, nie wytacza możliwości rozwiązania. Ale stwierdza istnienie niepokoju — to już jest połowa pocieszenia. Może tego przynajmniej, tej namiastki ratunku szukają widzowie ciszący się do kas kinowych? Nie wróży to nic dobrego — oto jeszcze jedno świadectwo psychicznej niepewności przeciętnego Amerykanina”.

ZYGMUNT KALUŻYŃSKI

Dzisiejszą stronicę filmową „Świata” poświęcamy dwóm filmom z Hollywood. Są to filmy oceniane jako rewelacja sezonu. Jeden z nich pokazuje rewolucję ludową, drugi bankructwo życiowe przeciętnego Amerykanina. Mogło by się zdawać, że Hollywood nie unika drażliwych tematów naszej epoki i odważnie podejmuje palące problemy społeczne. Przyjrzyjmy się więc z bliska ostatnim rewelacjom amerykańskiego ekranu.

HOLLYWOOD NAKRĘCIŁ FILM O REWOLUCJI

FILM nazywa się „Viva Zapata!”. Wyprodukowała go wytwórnia „Twentieth Century Fox”, reżyserem jest Elia Kazan. Ten sam Elia Kazan, który przesłał do Komisji badania działalności antyamerykańskiej dokładną listę swoich prac reżyserskich, dopisując przy tytułach sztuk i filmów: „...bez polityki” „...apolityczny” „...stanowi skrajne przeciwieństwo komunistycznych paszkwili o Ameryce”... itd. Ten sam Kazan, który gorączkowo tłumaczy się z „momentu słabości”, w którym zbliżył się kiedyś do postępowego „Group Theatre”.

To na początek, aby zrozumieć w jakich okolicznościach nakręcano film o powstaniu ludu amerykańskiego, któremu przewodził Emiliano Zapata. I aby pojąć, że film nie może mieć nic wspólnego z rewolucją, i że przy jego tytule Kazan z całkowitym spokojem mógł napisać: „Nie komunistyczny”.

JAK SIĘ FAŁSZUJE HISTORIĘ

Zatrzymajmy się nad wyborem tematu — rewolucja ludowa w Meksyku w drugim dziesięcioleciu naszego wieku. Wystarczy, aby poruszyć i zdeorientować publiczność, że film — aktualny — bo niby niedawno, że społeczny — bo rewolucja... Wystarczy jednak również, aby być w zgodzie z Komisją badania działalności antyamerykańskiej. Postępowy reżyser i publicysta John Howard Lawson tak charakteryzuje wybór tematu do filmu, dokonany przez Kazana i autora scenariusza Johna Steinbecka: „Czas akcji jest wystarczająco odległy, aby pozbawić się bezpośrednich aluzji do wypadków współczesnych. Położenie robotników rolnych z Morelos (główne ognisko powstania) podobne jest, co prawda, do położenia ludności kolonialnej. Nie lekceważąc tej historycznej paraleli należy jednak stwierdzić, że rola, jaką odegrali imperialiści Stanów Zjednoczonych w konflikcie meksykańskim, jest daleko mniej wyraźna niż ta, którą grają oni obecnie w Azji i innych częściach świata”.

Kazan pokazuje Meksyk jako kraj przekupnych i samowolnych gubernatorów i polityków, pozbawionych jakiegokolwiek oparcia za granicą, a ruch Zapaty, ruch Indian i Metyśów z Morelos przedstawia jako ruchawkę miejscową, odseparowaną od ogólnej fali walk antyimperialistycznych. Autor przekonuje nas, że ruch ten był spontaniczny, samoobronny i niecelny w działaniu, bo chłopci Zapaty są ciemni i okrutni.

Tak więc honor imperializmu amerykańskiego został uratowany i Kazan do spółki ze Steinbeckiem mogą spokojnie przystąpić do pracy. Nie można jednak powiedzieć, aby to była praca wdzięczna i łatwa. Została bowiem jeszcze rewolucja meksykańska, został Emiliano Zapata, wreszcie, dla spokoju sumienia

Kazana and Co, film musi być antykomunistyczny.

Popatrzmy, jak radzą sobie dzielni filmowcy.

Rewolucja — owszem, trzeba ją pokazać. Ale jak? Kazan ma w zapasie dwa niezawodne środki. Jeden stary i wypróbowany, to okrucieństwo, mordy, gwałt, przemoc, które, jak wiadomo, obce są gołębiemu sercem gangsterów z Chicago. Drugi, również nie nowy, ale za to bardziej wyrafinowany, to — jak mówił Kazan — „ancient law” — stare prawo. Stare prawo — to miraż jakiegoś dawnego szczęścia z okresu, kiedy nie było złych gubernatorów i sprzedajnych polityków, kiedy na wsi żyło się spokojnie, patriarchalnie i bogobojnie. Ta dawna szczęśliwość marzyła się wielu reakcyjnym ideologom, z woli Kazana zamarzyła się również meksykańskim powstańcom. I powstał on nie po to, by było lepiej w przyszłości, aby zdobyć ziemię, tylko po to, aby wróciło „ancient law” i było jak dawniej. Przy zastosowaniu tego chwytu niepotrzebna jest już Kazanowi żadna historyczna motywacja, nic nie grozi meksykańskim obszarnikom, a również, przez analogię, amerykańskim plantatorom z Południa.

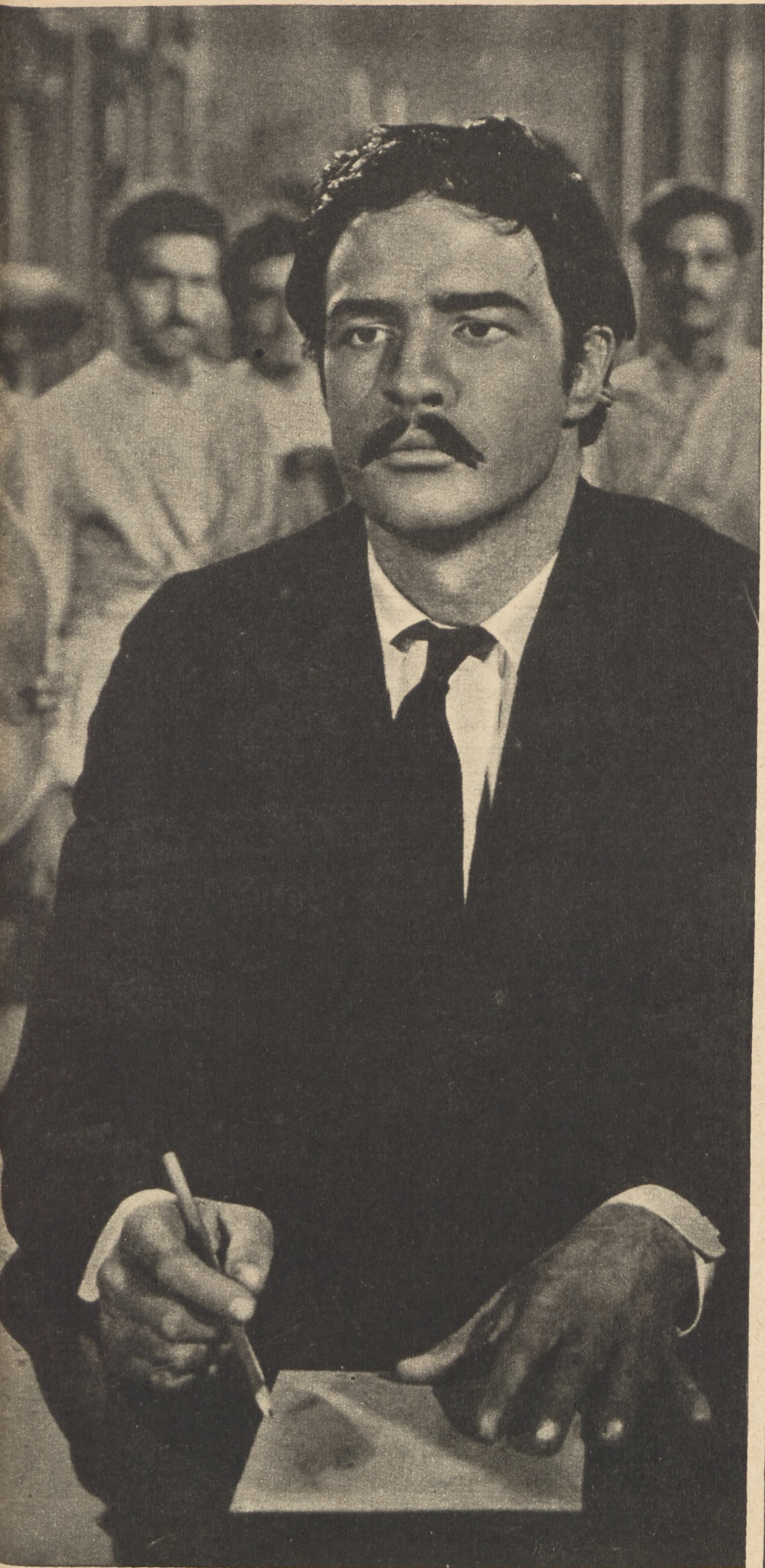
Taki sobie „bunt” jest również bardzo na rękę reżyserom. Mają oni do rozporządzenia barwny tłum powstańców, w malowniczych strojach, a wszystko to razem niegroźne, że aż przyjemnie popatrzeć... Tak więc Kazan i Steinbeck zyskali pole do popisu, a jednocześnie odwrócili w przeszłość, a nie w przyszłość, ostrze meksykańskiej rewolucji. Korzyść podwójna.

PRZYWÓDCA BUNTU — JAKO CIĘŻKI NEURASTENIK...

Teraz kolej na Zapatę, tego, który w interesie wytwórni „Twentieth Century Fox”, Komisji badania działalności antyamerykańskiej i w osobistym interesie Elii Kazana nie może żyć jako rewolucjonista. I tu Kazan okazuje się mistrzem akrobacji „historyczno - rewolucyjnej”.

„Tym, co najbardziej fascynowało nas w sprawie Zapaty — zwierza się Kazan w artykule opublikowanym w „Saturday Review” — był pewien nagi akt dramatyczny. W chwili sukcesu Zapata wycofuje się ze swymi siłami. Kiedy stolica opanowana była przez jego oddarte oddziały, Zapata mógł obwołać się prezydentem, dyktatorem, caudillo. Zamiast tego, nagle, bez wyjaśnień wraca on do swojej wioski... Ten akt wyrzeczenia winien stać się szczytowym punktem naszej historii i kluczem do osobowości Zapaty”.

Dla Kazana nie istnieje prawda historyczna. Nie liczy się z tym, że odkryty przez niego „nagi akt dramatyczny”



„Pokorny Rewolucjonista” — Tak Hollywood widzi Emiliano Zapatę, przywódcę powstania meksykańskiego, którego zrobiono na pocziwego neurastenika.

wcale nie jest szczytowym momentem historii Zapaty, że wycofaniu się przywódcy powstańców towarzyszyły konkretne okoliczności strategiczne, takie jak przeważające siły nieprzyjaciół (wśród których były również oddziały USA), jak możliwość okrążenia, jak wreszcie towarzyszące „nagiemu aktowi” zupełnie materialne bombardowanie miasta Meksyku przez artylerię nieprzyjacielską.

To wszystko nie obchodzi Kazana. On widzi „nagi akt dramatyczny”, „nagi”, znaczy pozbawiony żdźbła prawdy historycznej. I kiedy Carleton Beals, krytyk, podał w wątpliwość prawdziwość Kazana, ten „dzielny” historyk i psycholog w jednej osobie przytacza na poparcie swojego stanowiska nowy, „nieod-

party argument”: relację pewnej pani (lady), która знаła wodza i twierdzi, że istotnym powodem odwrotu Zapaty z Mexico City były... maszyny do pisania. Tak, Zapata miał się pono przestraszyć zatrważającej ilości pisanych na maszynie papierów, odezwała się w nim dusza sentymentalnego i prostodusznego włościanina i uciekł do domu. I oto „klucz do duszy Zapaty”, sfabrykowany do spółki przez Kazana, Steinbecka i „pewną panią”. Kazan nie chce jednak kompromitować Zapaty lękiem przed maszynopisami i dorabia mu duszę — gołębią, a jednocześnie impulsywną, uosobienie ośruchów ciemnego ludu. Ta dusza Zapaty to ostatni, niezawodny sposób, aby od historii przejść do psychologii, od psychologii do mistyki, a od

mistyki do filmu antykomunistycznego. Bo nie zapominajmy, że „Viva Zapata!” ma być filmem antykomunistycznym.

A WSZYSTKO PSUJE FERNANDO - KOMUNISTA...

W tym celu pojawia się Fernando. Początkowo Fernando nie ma w filmie nic do roboty. Ale ma on w zapasie dwie groźne możliwości — pisze na maszynie i jest komunistą. A tego przecież tylko było Kazanowi potrzeba. W filmie bowiem potrzeba konfliktu. W założeniu autorów filmu walka o ziemię nie może być jego źródłem. Lepiej, żeby Zapata musiał dokonywać wyboru pomiędzy istniejącym złem a czymś jeszcze gorszym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nadal kierował walką ludu. Tym czymś

jeszcze gorszym jest socjalizm i komunizm. Uosabia go Fernando. I Zapata, nienawidzący papierów, popada w konflikt z Fernando, papierowym zresztą i sztucznym. Konflikt kończy się kapitulacją i śmiercią Zapaty. Kto jest winien upadkowi powstania i śmierci jego przywódcy?

— Komuniści!

I Elia Kazan wraz z Johnem Steinbeckiem są w domu. Zrobili film o rewolucji, o historii, antykomunistyczny. Wszystko w porządku. A teraz mogą być zadowoleni zwolennicy „wolnej, zachodniej sztuki”, bo w Ameryce nie dobiera się tendencyjnie tematów dla filmów i nie pomija się zagadnienia rewolucji. Viva Kazan!

KRZYSZTOF T. TOEPLITZ

karika

z HISTORII FILMU

LEKCJA „POLIKUSZKI”

DO NASZYCH
CZYTELNIKÓW

Rozpoczynamy druk cyklu felietonów z dziejów kinematografii pióra Jerzego Toeplitza, krytyka i historyka sztuki filmowej, napisanych specjalnie dla „Świata”.



TRZYDZIEŚCI lat temu, w październiku 1922 roku, na ekranach radzieckich ukazał się film „Polikuszka” według powieści Lwa Tołstoja, reżyserii A. Sanina, ze znakomitym aktorem scenicznym Iwanem Moskwinem w roli tytułowej. Film wyprodukowany został w roku 1919, ciężkim i trudnym okresie dla filmowej produkcji młodego Związku Radzieckiego. Warunki pracy w nieopalanym, zniszczonym i źle technicznie wyposażonym atelier były katastrofalne. Aktorzy i technicy byli głodni, nie było materiałów na budowę dekoracji i co chwila elektrownia, pozbawiona węgla, przerywała dopływ prądu. Największą jednak przeszkodą w produkcji był brak taśmy negatywowej. Film kręcono na wydostawanych „spod ziemi” kilkunastu czy kilkudziesięciometrowych skrawkach taśmy. Nie było mowy o powtarzaniu scen, o „dublach”, o odrzucaniu niedoskonałego materiału. Na 2500 metrów surowca, które udało się zmobilizować, do ekranowej kopii filmu weszło przeszło 1800! Niezwykły rekord oszczędności, nie mający w historii filmu precedensów.

Trudności techniczne nie wpłynęły jednak źle na artystyczną wartość produkcji. Film „Polikuszka” zdobył sobie nie tylko uznanie w kraju, ale był jednym z pierwszych radzieckich filmów, który zwycięsko wkroczył na rynki zagraniczne. W roku 1923 sprowadzono do Stanów Zjednoczonych 425 filmów zagranicznych. Z tej liczby tylko sześć znalazło drogę na ekrany, a wśród nich na jednym z pierwszych miejsc film Sanina. W Berlinie, Paryżu i Londynie nawet wroga reakcyjna prasa pisała o „radzieckiej rewelacji filmowej”!

Nowość „Polikuszki” polegała na wiernej adaptacji powieści Tołstoja. Reżyser nie wahał się pokazać tematu tak mało „sensacyjnego”, jak dokładnie wystudiowane, ze wszystkimi szczegółami, sceny obyczajowe z życia chłopów rosyjskich. Bohater, ciemny chłop pańszczyźniany, zgubił pieniądze, które odebrał dla swojej dziedziczki. Gdy wracał furą nieco podchmielony, wypadły mu zza czapki, gdzie je sobie zatknął. Polikuszka ma już na sumieniu próbę kradzieży, popełnioną również pod

wplywem alkoholu, ale jego pani wyrozumiale darowała mu to przestępstwo. Nie śmie się jej obecnie pokazać na oczy i woli powiesić się na strychu, pożegnawszy się przedtem z żoną i dziećmi. Wielki tragik MCHAT-u, Moskwini, pokazał tu chłopą pańszczyźnianego w jego najdrobniejszych odruchach, gdy np. kłania się w pas, w specjalnym ceremoniale przywitania, czy pije wodkę, krzywiąc się i spluwając, jednak z wielkim zadowoleniem... Scena śmierci Polikuszki, gdy w ciemnej swej głowie, obarczonej odwiecznym przesądem posłuszeństwa, nie może znaleźć lepszego rozwiązania, należy do jednej z najświetniejszych sekwencji dramatycznych ekranu.

„Polikuszka” to jedno z pierwszych zwycięstw socjalistycznego filmu radzieckiego, zwycięstwo o parę lat wyprzedzające triumfy „Pancernika Piatomkina” i „Matki”. Złożyły się na nie trzy niezbędne w każdym filmowym dziele sztuki czynniki — walor literackiego tekstu scenariusza, właściwe wykorzystanie środków wyrazowych filmu przez reżysera, operatora i innych członków realizatorskiej ekipy, oraz twórczy wkład aktora. Nie bez racji napisał wówczas jeden z czołowych berlińskich krytyków, że „Polikuszka” — „to nowa era kinematografii, rzecz można — nowy realizm w filmie”.

Lekcja „Polikuszki” — twórczej filmowej adaptacji powieści — i po trzydziestu latach nie przestała być aktualna.

JERZY TOEPLITZ



Niewidoczni dla zapatrzonej i zasluchanej publiczności marioneikarze teatru „Guliwer” — Włodzimierz Fijewski, Krzysztof Niesiołowski, Maria Fijewska i Januariusz Wiszniewski — kierują „łosami” drewnianych lub papierowych figurek, które wywołują na przemian śmiech, grozę, zachwyt, a czasami najprawdziwsze łzy...

AKTORZY na NIITKACH

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

Jedną ręką poruszać można trzy lalki, tak zwane palcówki; aktor musi więc czuć nad ruchem sześciu „osób”, przemawiając za nie jednocześnie różnymi głosami. Oto wytłumaczenie faktu, że w przedstawieniu „Guliwer w krainie Liliputów” (pióra i reżyserii M. I. Sowińskiej) mogło wystąpić aż 166 różnych lalek...



RYCERZE, chłopcy, monarchowie, clowni, kumoszki — zwisają ze ścian żałośne nieruchomi. Ale skoro tylko nadejdzie godzina przedstawienia, całe to różnorodne bractwo, teraz śpiące za kulisami, ożyje i przy skocznych dźwiękach muzyki wkroczy na scenę zalaną światłem, aby opowiadać na przemian rzeczy dowcipne i smutne, aby walczyć, kochać i kłócić się...

Całym tym kolorowym i jazgotliwym tłumem kieruje kilkanaście osób ukrytych przed widownią: na przykład w teatrze „Guliwer”, który w ciągu siedmiu lat swej pracy wystawił 6 przedstawień, 12-osobowy zespół aktorów zaprezentował swojej młodocianej publiczności ponad 350 przeróżnych postaci ludzi i zwierząt. W przedstawieniu „Guliwer w krainie Liliputów” właśnie owych 12 osób poruszało 166 lalek — co daje pojęcie o tym, jak olbrzymią wprawę musi mieć aktor, ile żmudnych ćwiczeń i prób musi poprzedzać każde przedstawienie, jeśli ma ono wypaść zgrabnie, ciekawie i dowcipnie.

Jednakże opłaca się nawet największy nakład pracy — wszystko warto zrobić dla widza tak głęboko i czujnie reagującego, jakim jest dziecko. Niejeden to raz dzieci zagrażały całości sceny rzucając się na pomoc „Szewczykowi Dratwce” podczas jego walki ze smokiem, a trudna do opanowania burza protestów rozpętywała się, kiedy lis porwał „Gegorka”...

Jeżeli zważymy, że tylko w jednym teatrze „Guliwer” oglądało przedstawienia 600.000 tak żywo odczuwających widzów, jasno zarysuje się niezwykle doniosła rola wychowawcza lałkowych dramatów. I dlatego, podobnie jak w zwykłym teatrze, trwa tam walka o wartościowy repertuar, w miarę możliwości aktualny. Weźmy chociażby taki utwór jak „Pan Stonka” — w specjalnym skrócie ukazuje on dzieciom szlachetną walkę „kartoflan” ze złośliwą stonką, która wylądowała na spadochronie i szkodzi, komu tylko może. Na nic się nie zdała nawet pomoc, jakiej udzielała jej burak i pomidor — arogancka para o psychice prawdziwych kulaków; stonkę przepędzono precz! Teatr lalek, łączący ściśle rozrywkę i dydaktykę, zasługuje więc na najtroskliwszą opiekę państwa, którą też ono w pełni nad nim rządzi.

W lipcu przyszłego roku Warszawa będzie świadkiem jedyne w swoim rodzaju festiwalu: 18 zawodowych i wielka liczba amatorskich teatrów lalek wystawi swoje sztuki, głównie autorów polskich, którzy czerpali natchnienie z doświadczeń Obrazcowa i innych, słynnych już na całym świecie, radzieckich twórców miniaturowego dramatu.

M. A.



Zabawne perypetie lalek oglądają setki tysięcy matych widzów, którym teatr zapewni...



„Pacynki” wykonywane są przez wybitnych plastyków. Już sam wygląd zewnętrzny bohaterów tłumaczy dzieciom, czy z danej postaci trzeba się śmiać, lubić ją, czy też się jej obawiać. Nie mniejszą rolę dla podkreślenia nastroju odgrywa muzyka.

WIZJA LOKALNA

Dokończenie ze str. 10/11



rozrywkę i naukę. Teatr „Guliwer” otrzyma niebawem nowy gmach z widownią na 450 miejsc. Dochód z przedstawienia na pl. Konstytucji przeznaczono właśnie na ten cel.



Znamy już „pacynki” i „palcówki”. A oto marionetki, poruszane przy pomocy nylonowych nitów. Staromodna nauczycielka wraz ze swą klasą — to właśnie owi aktorzy na nitkach, najtrudniejsi w obsłudze, ale dający największe złudzenie życia.

to błona płodowa z łożyska, którą po porodzie wkłada się do płynu konserwującego. Przechowuje się w 2% roztworze chloraminy. Po tygodniu jest to już gotowe do użytku, byle tylko stało w odpowiednio niskiej temperaturze. Dawniej więc sporządzano ten preparat tylko zimą. Teraz — zawsze jest podręczny zapas. Szczepi się to podskórnie. Płucze najpierw w płynie fizjologicznym, potem nacina skórę i wysuszoną owodnię wkłada jak do kieszonki w owo nacięcie. Skóra to absorbuje. Jest to znakomity bodziec regeneracyjny. Wystarczy 3 przeszczepy na wrzody gołeni. Tak samo stosuje się, gdy rana pooperacyjna nie chce się goić. Stosuje się też przy astmie.

Maków Podhalański nie jest nawet miastem powiatowym — to tylko gmina wiejska. Ale w jego szpitalu uważają nowoczesne leki za rzecz oczywistą. Od zebrań o lek stanowiący o życiu dziecka aż do lodówki z lekami: czternaście lat. I zmiana ustroju.

TAM I Z POWROTEM ZA 60 ZŁ

Już 8 dni Wicek Wajdzik choruje. Dziś siódmy dzień. Zdecydowano się wezwać lekarza. Zdecydowano się wydać 30 zł. To znak, że z Wickiem źle. Już przed południem był ksiądz u niego.

Tak nagle zaczęła się ta choroba. W jeden dzień: zimnica, kaszel, gorączka. Odpluł krwią. Kłuto go w piersiach. Po nocach głupio mówił. Wszyscy poznali, że zapalenie. Leczyli go, jak mogli. Dawali mu rumianek na gorączkę. Postawili mu bańki. Smarowali go psim sadłem. Dawali psie sadio do picia, żeby mu głód było w piersiach. Kupowali w aptece leki na zapalenie. Było mu coraz gorzej. W dziewiątym dniu przestał mówić. Dychy go chwyciły straszne. Posiniał na twarzy.

Tętno u Wicka 160 na minutę. Wicek umrze. Sprowadzali mu księdza i doktora. Ksiądz zaopatrzył go na śmierć. Doktorka dawała zastrzyki, często trzeba robić. Uczyła szprykę gotować i igłę do ciała wbijać. Odjechała do Suchej. Powiedziała, że z Wicka nic nie będzie. Ze późno po nią przystali. Akuszerka znów, starsza kobieta, zastrzyków nie zwyczajna. Za jej czasów tego nie było. Ona człowieka zastrzykami dobijać nie będzie. Stłukła tylko strzykawkę. Złamała igłę. Trzeba będzie odkupić.

Za 3 godziny Wicek umarł.

A gdyby Wincenty był wezwał lekarza o 8 dni wcześniej. Gdyby był dwa razy dziennie dostać zastrzyk. Dwa razy dziennie przez 8 dni. Nie wiadomo...

Dwa razy dziennie po 6 godzin, tj. 12 godzin. Dwa razy dziennie po 30 zł przez osiem dni wynosi 480 zł. Liczymy mu zniżkowo 320 zł (po 20 zł). Lekarz nie ma 12 godzin czasu dla Wicka. Wicek nie ma 320 zł dla lekarza. Dlatego Wicek umarł.

Tańszym kosztem mógłby się być leczyć w szpitalu. Nie wiadomo tylko, czy by był żywy dojechał z Krzeszowa. Na szpital trzeba mieć pieniądze. Na furmankę i pociąg osobno.

19 września br. źle się czuł 67-letni Józef D. ze Skawicy. Miał straszliwe bóle brzucha. Załadowano go na wóz i po godzinie był już w szpitalu w Makowie.

Było to niedługo potem, jak u furty szpitalnej zadzwonił dzwonek — tak około 5 rano, kiedy zbudzono dr Boguckiego. Rozpoznanie: skręt kiszek. Stan serca: nienadzwyczajny. Próbowano więc przynieść choremu ulgę bezoperacyjnie. Wszystko zawiodło.

Po przygotowaniu chorego stosowano wlewki dożylnie i preparaty wzmacniające serce — o ósmej rano zaczęła się operacja. Ja ją widziałem — i wy też możecie na naszych zdjęciach ujrzeć jej kluczowe momenty.

Kropla po kropli kapie eter na maskę pokrywającą twarz chorego chłopca. Jego zapadłe policzki wydymają się w szybkim, chrapliwym oddechu. Kiedy on sam zapada w ocean niepamięci, otaczający go ludzie w białych kitlach i białych tamponach na twarzach koncentrują cały swój wysiłek, całą bystrość, aby rozegrać tę jeszcze jedną codzienną potyczkę ze śmiercią.

Pole operacyjne otoczone jest bielą płócien. W żółtawym świetle bezcieniowej lampy ręce chirurga, zbrojne w

mały, stalowy skalpel, suną po skórze jamy brzusznej. Za skalpelem wyrasta podwójna, rozchodząca się czerwona linia. Wprawne dłonie asysty przytrzymują rozciętą skórę i odsłaniają jamę brzuszną.

Krople eteru kapia na maskę pokrywającą twarz chorego. Spód siwych, beładnie rozrzuconych włosów widać tylko małe skrawki czoła. Cera sinobłada.

Dr Bogucki zapuszcza dłonie, pozornie bezradne pod gumowymi rękawicami — ale czule i rozbiegane, w jamę brzuszną operowanego. Delikatnie dotyka wnętrza — po raz nie wiem który w swym życiu widzi i czuje palcami otwarty brzuch chorego człowieka. Nic dziwnego, że rozpoznaje wszelkie anomalie, wszystko to, co odbiega od normalnego stanu rzeczy. Mówi asyście: skrecone jest jelito esowate. Nadmierne duże. Poszerzy cięcie.

Wytaczanie jelita grozi pęknięciem. To bardzo delikatna sprawa. Wreszcie widać na wierzchu potwornie wzdęte i poskręcane. Trzeba wiele trudu, aby je odkręcić: było skrecone o 540 stopni, czyli dokonało trzykrotnego półobrotu. Ostatecznie jest normalnie ułożone — ale jeszcze ciągle na wierzchu. Lekarze odprowadzają gazy z jamy brzusznej. Stół operacyjny zostaje tak ustawiony, by nogi chorego leżały wyżej od głowy. Mimo woli przypominają się opowiadania o tej „silnej siostrze”, która nie tak znowu dawno musiała trzymać przy takiej operacji część stołu w górze. Dzięki takiemu położeniu wątroba przesunęła się nieco w dół, ułatwiając doprowadzenie jamy brzusznej do jej stanu naturalnego.

Teraz jeszcze szczie. Wreszcie flaszka z eterem wraca na półkę. Operacja skończona. Potyczka o życie — jeszcze nie. Teraz dzień po dniu dokonuje się transfuzji krwi i aplikuje środki nasercowe.

KIEDY SNY SIĘ WYŚNILI?

W jednym z fragmentów swego pamiętnika dr Karasiówna pisze: „Zaczekam, aż w każdej wsi będzie szpital lub jeden na kilka wsi. Zaczekam 200 lat, może 500”.

W innym znowu miejscu odsłania przed nami swe marzenia:

Wróciłam późno w nocy do domu. Śpię. Sni mi się przyjemny sen. Jestem wysoką figurą, dokładnie nie wiem jaką. Nie chciano mnie poinformować. Mam do opracowania projekt. Zorganizować pomoc lekarską przy porodach na wsi. Pieniądzy jak zwykle jest mało, nawet we śnie.

Robi się drewnianą przybudówkę do mieszkania każdej akuszerki, dwie izby, jedna dla rodzących, druga dla położnic. Telefon.

Na okolicznych górkach kobiety dostają bólów porodowych. W każdym siedlisku są nosze: dwa kije i płachta. Dwóch chłopów potrafi zanieść rodzącą do stacji porodowej najdalej za godzinę. Niejedna zajdzie jeszcze sama. Stacje rozrzucone po całej wsi. Wzdłuż głównej drogi. Nie ma biegania tam i z powrotem po akuszerkę i z akuszerką. Nie ma szukania położnych po chatupach. Nie trafia się, żeby wyjechała, nie zgubi i nie zapomni narzędzi. Zamiast za 5 godzin, ma się ją za godzinę. Tę samą piątkę, którą płaciła w domu, płaci jej rodząca na stacji. Tym samym co w domu się wyżywi. Dla akuszerki wygoda.

W każdym miasteczku jest mały szpitalik położniczy. Jeden z miejscowych lekarzy pełni dyżur. Jest personel pomocniczy, salka do zabiegów, pomieszczenie dla położnic. Telefon. Auto. Stacje wiejskie zgłaszają telefonicznie nieprawidłowe porody. Auto przywozi rodzącą. Prawidłowe rodzą się na stacjach.

Nie ma jeżdżenia po lekarza i z lekarzem, lecz w jedną tylko stronę. Nie ma niepewności, że się go nie zastanie w domu. Ma się go za godzinę. Jest światło, jest stół i asysta. Jest zawsze odpowiedni moment. Jest czas odesłać do większego miasta, gdy duży zabieg jest potrzebny.

Nie czekałaby dr Karasiówna ani 200, ani 500 lat na realizację swych marzeń. Jej sen zaczął się już spełniać.

LUCJAN WOLANOWSKI

BUT NA OBŁOKU

3)

JERZY WALDORFF

PAMIĘTAM te dawne koncerty! — W wielkiej sali Filharmonii Warszawskiej, mogącej pomieścić 1200 osób, zbierało się w piątkowe wieczory 200, czasem 300 słuchaczy. W lewym rogu, pod balkonem, otoczony młodymi muzykami i literatami (było się kiedyś młodym!) siadywał Karol Szymanowski. Nad pustą widownią królował z plafonu Apollo w otoczeniu muz. A że jednym z założycieli Filharmonii był finansista Rajchman, więc malarz usadowił go u stóp Apollina: w czarnym tuzurku, sztywny i uroczy — Rajchman przebywał w boskim towarzystwie, opierając się butem o obłok.

Były wszakże koncerty, podczas których sala Filharmonii zapętniała się po brzegi. Działo się tak, gdy do Warszawy zjeżdżała jakaś modna gwiazda filmowa, np. Grace Moore.

— Co pani sądzi o jej śpiewie?

— Ach, co tam śpiew! Niech się moja pani lepiej przyjrzy jej sukni. Ostatni krzyk mody!...

Tak wyglądało wówczas zainteresowanie muzyką w Warszawie.

Dziś, kiedy często Hala Mirowska jest za mała, aby pomieścić ludzi chcących być na koncercie — tamte czasy wydają się nie do wiary. Zmieniła się liczba, rodzaj słuchaczy i ich stosunek do muzyki. Nasz nowy odbiorca muzyki coraz bardziej masowo staje się jej wykonawcą. Przy każdym większym zakładzie pracy mamy chóry i zespoły orkiestrowe.

Działalność tych placówek amatorskich jest nie mniej ważna od działalności Oper i Filharmonii. Może nawet ważniejsza, bo właśnie na amatorskim terenie rozbudowuje się kultura muzyczna w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Dlatego — u progu nowego sezonu muzycznego — złożyłem także wizytę ob. Karczewskiemu, kierownikowi Działu Artystycznego przy CRZZ.



Chór Górniczy z Siemianowic opracowuje, wspólnie z katowicką wielką orkiestrą symfoniczną Polskiego Radia, wspaniałą „Pieśń o lasach” Dymitra Szostakowicza.

Karczewski był niedawno w Krakowie, gdzie odbyła się narada dyrygentów orkiestr symfonicznych z dyrygentami amatorskich zespołów muzycznych. Postanowiono współpracować ze sobą, zaczynając od tego, że chóry amatorskie opracowywać będą kantaty, które później wykonywane będą przez te chóry z towarzyszeniem orkiestr symfonicznych. I tak — nową kantatę T. Szeligowskiego „Karta serc” wystawią Filharmonia Łódzka z Chórem Tramwajarzy,

Filharmonia Szczecińska z Chórem Kolejarzy i Filharmonia Katowicka z Chórem Wojewódzkiego Domu Kultury. „Kantatę Wrocławską” K. Wiłkomirskiego wykona Chór Huty „Częstochowa” wspólnie z miejscową orkiestrą symfoniczną i Chór Woj. Domu Kultury we Wrocławiu wspólnie z Wrocławską orkiestrą symfoniczną. Kantatę K. Serockiego „Warszawski murarz” przygotowuje poznański Chór Kolejarzy i Filharmonia Poznańska.

Twórczość kantatowa, choć przeznaczona dla najszerzszych rzesz odbiorców, dotychczas do rzesz owych docierała z trudnością, w braku dostatecznej ilości chórów zawodowych przy Filharmoniach. Odtąd kantaty będą wykonywane przez tych, dla których zostały napisane. Bravo! Doskonała inicjatywa, rokusująca tym lepsze nadzieje, że — idąc śladem teatrów dramatycznych — Opery i Filharmonie opiekować się będą w przyszłości zespołami amatorskimi. Nad specjalnie drogą społeczeństwu Filharmonia Hutniczą w Świętochłowicach objął patronat artystyczny najwybitniejszy nasz dyrygent — Grzegorz Fitelberg. W tropy Fitelberga poszli na swych terenach dyrygenci: Buchwald w Poznaniu, Lewandowski w Bydgoszczy i Stryja w Katowicach. Wkrótce dowiemy się z pewnością o nowych przykładach współpracy zawodowych muzyków z amatorami.

Rolnik, chcąc by mu ziemia przyniosła dobre plony, uprawia ją pieczołowicie. Muzyczna ziemia, solą ziemi jest — ruch amatorski. Tam rosną i wyrabiają się kadry przyszłych odbiorców i wykonawców muzycznych. Dlatego akcję podjętą przez CRZZ należy uważać za najcenniejszą wśród cennych.

Czy CRZZ może pochwalić się samymi tylko sukcesami? — Nie! Ma także kłopoty. „Czytelnik” mianowicie nie wydaje masowych utworów chóralskich rozbitych na głosy, lecz tylko w wyciągach fortepianowych. To ogromnie utrudnia pracę chórów w terenie, bo pamiętać trzeba, że nie każdy chór ma kierownika tak wykwalifikowanego, żeby potrafił rozpisć głosy na podstawie wyciągu.

„Czytelniku” przemysł to i zastanów się, czy aby nie hamujesz ważnej sprawy rozśpiewania naszego kraju!

Tak więc, u początków nowego sezonu muzycznego omówiliśmy kilka rzeczy, jak przebudowę Opery w Warszawie, kłopoty Warszawskiej Filharmonii, pracę „Mazowsza” i „Malw” („Świat” Nr 40), potem projekty repertuarowe Polskiego Radia, Konkurs im. Wieniawskiego i pracę Szkół Muzycznych („Świat” Nr 41) i wreszcie działalność CRZZ.

Czy to wszystko? — Ależ skąd! To zaledwie część naszych problemów muzycznych, których bogactwo jest ogromne. Że jednak sezon się dopiero otwiera, więc będziemy mieli czas na omówienie wszystkiego po kolei.



Przerwałam mu wtedy pogardliwym wydeciem ust. Mówił jeszcze na temat treningu, odpowiedniego ubrania (te nieszczesne, uwierające pantofle), coś na temat teŹyżny i temu podobnych rzeczy, które wydały mi się banalne.

A później przyznawałam mu rację, wlokąc się trasą zeszłorocznych marszów. Ile potem było docinków ze strony koleżanek i kolegów. I epitetów w rodzaju: niezłazna, oferma... Zresztą mieli rację. Nie przygotowałam się, mówiąc językiem sportowym: „zawaliłam”.

Aż wstyd dzisiaj wspomnieć. Dość powiedzieć, że na trasach jesiennych marszów spotkać można z jednakową werwą maszerujących młodziaków, a obok nich takich, którzy mogliby być ich dziadkami. Normy czasu nie są wysokie i uzyskać je łatwo, tylko warunek: nie „na siłę”, a po solidnym treningu.

Dlatego w tym roku przygotowałam się bardzo solidnie do tej potężnej imprezy, która setki tysięcy Polaków czczą pamięć bohater-

skiej Armii Radzieckiej. Armii, która wraz z walczącym u jej boku Wojskiem Polskim przyniosła nam wolność.

Z udziałem w Marszach łączy się także zdanie normy na odznakę SPO. Jakże przyjemnie będzie przekroczyć linię mety wraz z innymi, w czasie odpowiadającym normie; jakże przyjemnie usłyszeć oklaski witające tych, którzy zdali egzamin. A potem... potem w książeczce SPO — pierwsza zdana norma.

W ub. roku na starcie Marszów Jesiennych stanęło przeszło pół miliona uczestników, w tym roku było ich znacznie więcej.

Wszystkim przypominam mój niesławny udział zeszłoroczny i radzę, jako doświadczony piechur: dobry trening, lekkie ubranie i... wygodne buty, to połowa powodzenia. Kto w tym roku postąpił, jak ja w zeszłym, niech poprawi swą reputację w roku następnym.

kryst.

Fot: CAF

W Marszach Jesiennych startują tysiące osób — potrzeba więc setek dobrych organizatorów. Muszą oni sumiennie dopilnować wyznaczenia tras, aby nie było pomyłek

Raz... dwa... Wszyscy równo, nie wyrywać się do przodu, pomagać słabszym — stanowią jeden zespół i każdy odpowiada za całość. Przed nami 5-kilometrowa droga.

DZIADOWIE I WNUKI NA STARCIE

JUż podczas marszu, na pierwszym kilometrze od startu, poczułam, że do mety nie dojdę. W dodatku lewy pantofel uwierał tak dotkliwie, że z każdym krokiem wzmagala się we mnie chęć zaniechania tego, jak się okazało, przerastającego moje możliwości wyczynu.

Jedynie ambicja i silna wola pozwoliły mi przebyć 5-kilometrowy odcinek, w znacznej odległości za innymi. Moje niedołęstwo miało swój początek w beztroskim stosunku do tej imprezy sportowej.

— Marsze? — powiedziałam przewodniczącemu koła, kiedy zaproponował mi udział w nich — z przyjemnością. Codziennie przemierzam spory szmat Warszawy idąc z pracy do domu, więc coś dla mnie „głupie” 5 kilometrów.

— To nie tak łatwo — ostrzegał przewodniczący. — Do domu idziesz spacerkiem, a tu trzeba wykazać prawdziwą sprawność. Nie wolno zostać w tyle, bo naraża się w ten sposób całą drużynę. Wszyscy muszą iść jednym tempem...



POKAŻ PODWIAZKĘ, A POWIEM CI KIM JESTEŚ...

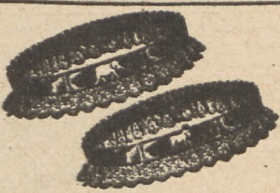
Do kampanii wyborczej w USA włączyła się ostatnio nowojorska firma „Lady Warwick”, która na łamach prasy wzywa amerykańskie damy do towarzyszenia do zmanifestowania lojalności wobec swej partii. W jaki sposób? O tym mówi ta oto reklama:

„OKAŻ LOJALNOŚĆ WOBEC SWEJ PARTII!”
Każda dama z towarzystwa zajmująca się polityką w tym roku z radością powita ręcznie wykonane przez Hortensję Hewitt **POLITYCZNE PODWIAZKI** z czarnej koronki i jedwabiu na kontrastującym, barwnym tle.

Para ze złotymi, metalowymi stoniami dla młodej damy, która woli republikanów, albo para osiołków dla zapalanej demokracji. A dla „dyplomatek”, które nie chcą wyraźnie opowiedzieć się po żadnej stronie — po jednej (podwiazke) każdego rodzaju.

2.50 dol. za parę przekazem pocztowym. W celowym pudełku przewidywanym barwną wstęgą — 2.75 dol. przekazem pocztowym.

LADY WARWICK,
791 Madison Avenue,
New York 21



SHOW Your Party Loyalty!

Every gal who's playing politics this year will welcome Hortense Hewitt's handmade **POLITICAL GARTERS**... of lush black lace and satin with contrasting colorful linings.

There's a pair with gold metal elephants for the young lady who prefers the G.O.P. Or a pair of donkeys for the ardent Democrat. And for "diplomats" on the fence—one of each!

\$2.50 per pair postpaid. Gift wrapped in clear acetate box with matching ribbon, \$2.75, postpaid. C.O.D.'s Accepted.

Lady Warwick

791 Madison Avenue, New York 21

A więc, żeby okazać lojalność wobec swej partii, młoda amerykańska dama z towarzystwa... unosi spódnice i pokazuje podwiazki. Stoń czy osioł? Demokratka czy republikanka?

NERON SPALIŁ RZYM...



Tak polityka wywołała przewrót w modzie damskiej USA w zakresie podwiazek. A oto jak sztuka filmowa wpłynęła na modę męską w USA w zakresie... z rysunku jasno wynika czego.

W grudniowym numerze (1951 r.) wykładowca miesięcznika amerykańskiego dla panów, „Esquire”, firma Knickerbocker reklamuje wiadomą część garderoby męskiej, której ostatni model powstał pod bezpośrednim nadzorem filmu... „Quo Vadis”. Czytamy w reklamie:

„Jak Nero w Quo Vadis... Chcesz przyspieszyć sprawę, pokaż ten wycinek swej „imperatorowej”. W minutę po obejrzeniu tej

stronicy pobiegnie, by ci kuźnić „Mungswaera” niezwykle kałesony Quo Vadis. Radosny wzór zaczerpnięty wprost z obrazu tamtego filmu z barwnych dni Rzymu. Biedny Nero odziany w skromną togę nigdy nie doznał zdmiewającej wygody noszenia takich świetnie skrojonych spodni bokserkich ze sztywnego jedwabiu. To najweselejszy wzór, jaki kiedykolwiek widziałeś.

„Natchnione przez wielki film kolcowy MGM. Autentyczny fason Quo Vadis, wyłączny produkt firmy Knickerbocker...”

O Neronie wiemy, że spalił Rzym. Co by zrobił po przeczytaniu tej reklamy — truano osądzić.

6 I PÓŁ MILIONA DZIECI ZAGROŻONYCH POŻAREM

Zadziwiająca rzecz, jak kiepsko ten nieszczęsny „Głos Ameryki” informuje nas o swym kraju. A przecież tyle jest ciekawych rzeczy w Ameryce, które warto omówić. Na przykład sprawa szkolnictwa. Oto kilka ciekawych danych, zaczerpniętych z tygodnika „US News & World Report” (12 września 1952). Źródło co najmniej tak samo dostępne dla redaktorów „Głosu Ameryki”, jak dla nas. Z okazji rozpoczęcia nowego roku szkolnego w USA, tygodnik pisze:

„Nie ma dostatecznej liczby izb szkolnych. Nie ma dostatecznej liczby nauczycieli. Tysiące uczniów skazane będą na naukę częściową”.

I dalej:

„Co to oznacza dla młodzieży — podajemy niżej: „Zaimprovizowane klasy — w budynkach przeznaczonych na magazyny lub składy oraz w innych nieodpowiednich pomieszczeniach — dla 1.800.000 dzieci.

„Skrócony dzień nauki, tak by każda izba mogła być wykorzystana na dwie lub trzy zmiany — dla przeszło miliona dzieci.

„Niebezpieczeństwo pożaru zagraża 6.400.000 dzieci, umieszczonych w budynkach pozbawionych elementarnego zabezpieczenia przed ogniem.

„Nauczanie jednoklaso-

we dla 1.900.000 dzieci, skazanych na jednoklasowe szkoły o jednym nauczycielu.

„Tłok w klasach dla 14 milionów uczniów...”

„Brak nauczycieli zmusił nas do stłoczenia nadmiernej liczby dzieci w jednej klasie nawet wówczas, gdybyśmy rozporządzali dostateczną liczbą szkół. Albowiem brak jest nauczycieli. Niedobór nauczycieli obliczany jest na 160.000...”

„Niedobór izb szkolnych wytworzył się w latach kryzysu i wojny. Potrzeba około 600.000 nowych izb szkolnych...”

Co na to rząd Stanów Zjednoczonych? Nic. W budżecie władz federalnych nie ma w ogóle sum na oświatę. Powinny się o to troszczyć władze lokalne. Ale władze lokalne nie rozporządzają funduszami. Podatki na cele wojenne zdrenowały kieszenie płatników, którzy ledwo dyszą pod ich ciężarem. Apele do władz federalnych dały taki oto stosunek:

„Kongres — pisze tygodnik — zaaprobował projekt przeprowadzenia badań, czy władze stanowe i lokalne potrafią uporać się z trudnościami oświatowymi. Po zebraniu materiału badawczego Kongres będzie bliższy możliwości zdecydowania o sprawie, która jest przedmiotem jego rozważań od bardzo

już dawna: czy rząd federalny powinien pomóc w placeniu kosztów utrzymania szkół?”

Słowem — najpierw komisja, potem badania, potem debata, potem dopiero Kongres „będzie bliż-

szy” i zastanowi się, czy rzecz zasługuje na decyzję. A tymczasem 6 i pół miliona dzieci uczy się w rudach zagrożonych pożarem, czyli — jak się to mówi w Ameryce — w pułapkach pożarowych (fire trap).

JESZCZE O BIKINIARZACH



W związku z wątpliwościami „Głosu Ameryki”, który nie może pojąć, co to „bikiniarz”, opublikowaliśmy w nrze 37 „Świata” karykaturę z tygodnika „New Yorker” przedstawiającą męski okaz tego wykwitu amerykańskiego

stylu życia. Dla uzupełnienia obrazu publikujemy dziś rysunek z „Collier's” (nr. z 23 sierpnia 1952), przedstawiający z kolei okaz żeński „bikiniarza”. Prawda, że estetyczny? Ale za to stu procentowo amerykański.

STRACH MA CORAZ WIĘKSZE OCZY

Histeria na tle „latających talerzyków” osiągnęła w Ameryce nieznane dotychczas rozmiary. Oto depesza agencji United Press z miejscowości Sutton w

stanie West Virginia, umieszczona w „Dzienniku Związkowym” (Chicago) z dnia 15 września 1952 roku. Depesza ta obiegła zresztą całą prasę amerykańską:

Pogłoski o Pobycie Straszego Potwora w Górach West Virginii

Miał Być Zauważony Po Opadnięciu „Latającego Dyska”. — Policja Ma Do Czynienia z Nową Histerią

Sutton, W. Va. — (UP) — Według podań „naocznych” świadków, wysoki, błyszczący twór z czerwonej jak krew warzą ukrywa się w górach, co podzieliło mieszkańców powiatu Braxton na dwie strony dzisiaj — wierzących i sceptyków.

Siedem osób głosi o widzeniu na własne oczy niezmiennego potwora, określonego jako „gorszego niż Frankenstein”, w górach powyżej Flatwood, W. Va., w piątek wieczorem.

Policja stanowa i wielu mieszkańców poczytują te opowiadania jako produkt nowej masowej histerii. Policja podaje, iż podania „naocznych” świadków przez nią badanych różnią się. Według jednych wysokość potwora wynosiła 7 stóp, a według innych dochodziła do 17 stóp.

Silne poruszenie w okolicy nastąpiło, gdy dwaj młodzi synowie p. Gathryn May, fryzjerki z Flatwood, podali, że ujrzeli „latający dysk”, który — ich zdaniem — opadł na farmie C. B. Eishera, niedaleko stąd.

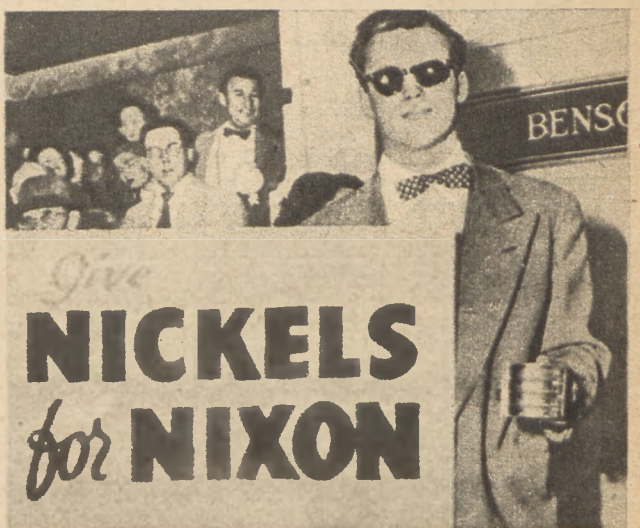
Pani May, jeden z żołnierzy Gwardii Narodowej Gene Lemon i pięciu chłopów wyspinali się na górę na farmie Eishera aby popatrzeć na ów „dysk”.

Tymczasem jak powiedziała p. May ujrzeliśmy ogniem zlatającego potwora, 10 stóp wysokiego z jasno-zielonym ciałem i czerwonej jak krew twarzą. Wyglądał on gorzej niż Frankenstein. To nie mógł być żaden człowiek.”

Ow potwór miał się pochylić i posuwać ku całej gromadce. Wtedy p. May i drudzy zaczęli uciekać, oglądając się tylko za siebie. Od strony potwora zalaływało metaliczny odór. Pani May podała, że widok tego potwora spowodował u niej mdłości przez kilka godzin. 17-letni Gene Lemon powiada, że myślał najpierw, że widzi ogromną „kunę”. A gdy skierował na nią światło latarki, przekonał się, że to niezwykle potwór.

Radzimy zmobilizować armię atlantycką i posłać ją do stanu West Virginia. Może da sobie jakąś radę ze strasliwymi potworami. Bo policja amerykańska na pewno okaże się bezsilna. Zaraz zacznie brać od potworów łapówki i pozwoli im grażować bezkarnie.

GROSIK NA UBOGIEGO



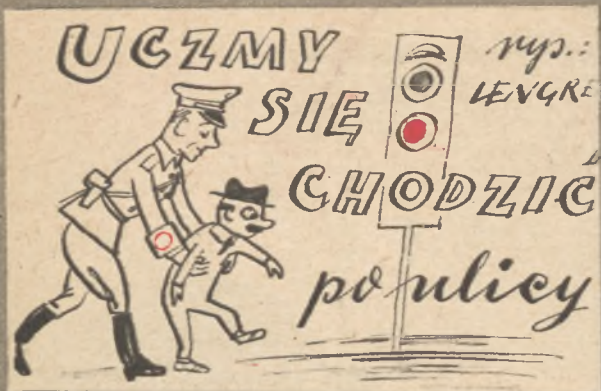
Afera Nixona, republikańskiego kandydata na wiceprezidenta, który pobierał łapówki od bankierów kalifornijskich, została już częściowo zatuszowana. Generał Eisenhower wystąpił w obronie łapownika, a prasa dostała znak, żeby przestać atakować niefortunne politykiera. Reakcyjny tygodnik „Time” usprawiedliwia senatora Nixona, twierdząc, iż popełnił on po prostu „błąd taktyczny”. To stara złodziejska formuła, sprowadzająca się do potępienia opryska za to, że dał się złapać.

Tymczasem przeciwnicy Nixona zorganizowali do-

wcipną kampanię. Oto na ulicach Nowego Jorku pojawili się kwestarze, zaoferowali w puszkach i plakaty, nawołujące do składania ofiar na rzecz chciwego senatora:

GIVE NICKELS FOR NIXON

czyli: „Dajcie piątkę na Nixona” (Nickel — moneta pięciocentowa). Może przestanie kraść, jak dostanie zasiłek z ofiar publicznej. Choć należy mieć co do tego poważne wątpliwości. Nixon na pewno weźmie, co łaska, ze zbiórki publicznej, ale nie przestanie brać tego, co dadzą bankierzy.



Rysował: Z. LENGREN



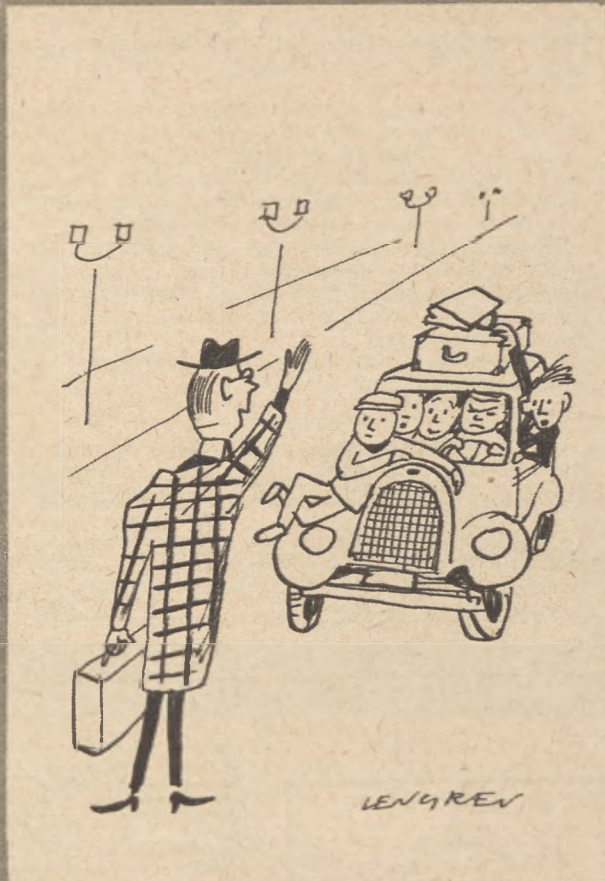
— Też mają o czym pisać w tych gazetach: jak chodzić po ulicy! Kому to potrzebne!



— Trzeba popatrzeć, czy co nie nadjeżdża.



Podwójne niebezpieczeństwo



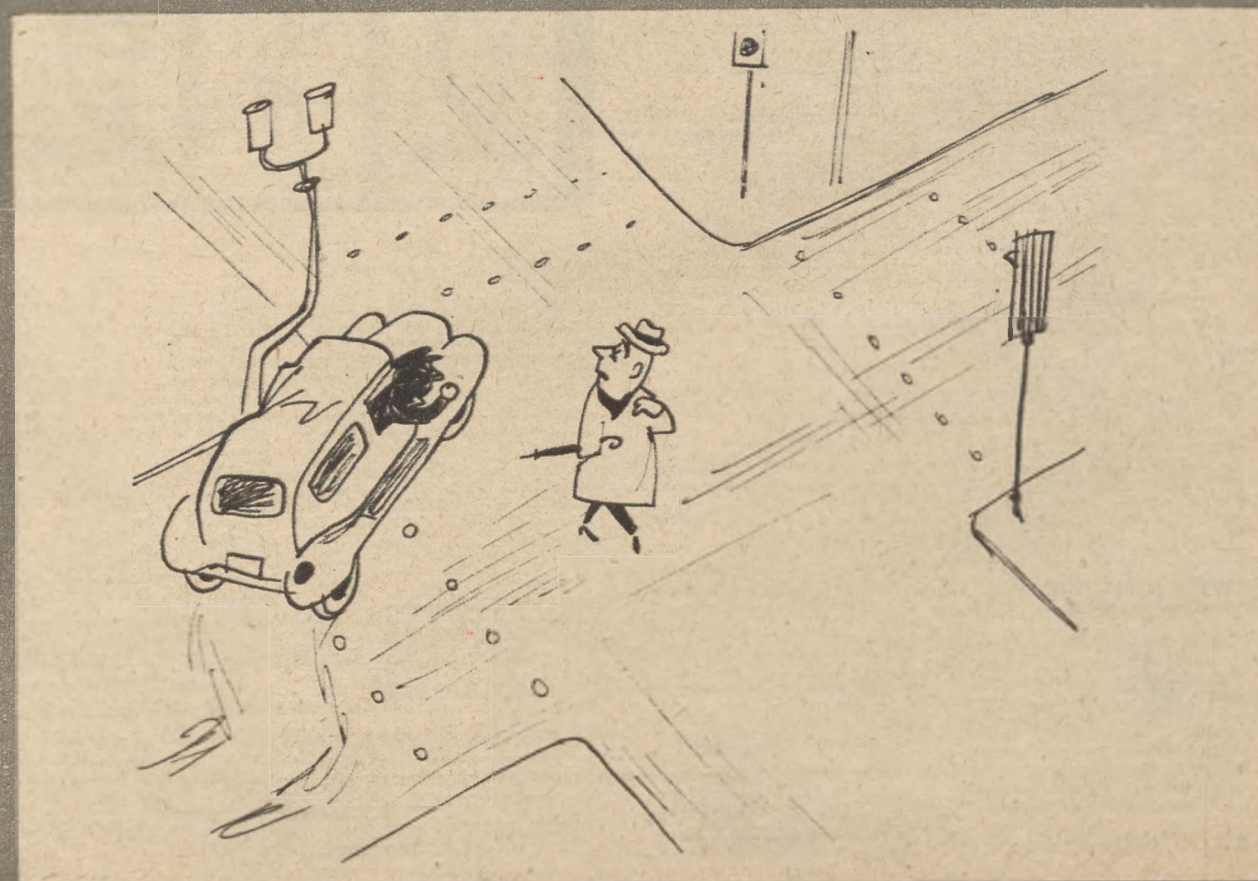
Wolny??!



— Ja ci mówię, że trzeba przejść w tę stronę!...



Raz na lewo, raz na prawo.



— Pan mnie nie będzie uczył, jak mam chodzić... Pan wie kto ja jestem?!